

1944

...Polska polityka zagraniczna będzie polityką demokratyczną i opartą na zasadach zbiorowego bezpieczeństwa.

...Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego stawia przed sobą jako bezpośrednie zadanie natychmiastową poprawę bytu szerokich rzesz narodu.

Z Manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego

1974

ROK ZAŁOŻENIA 1933

# KAMENIA

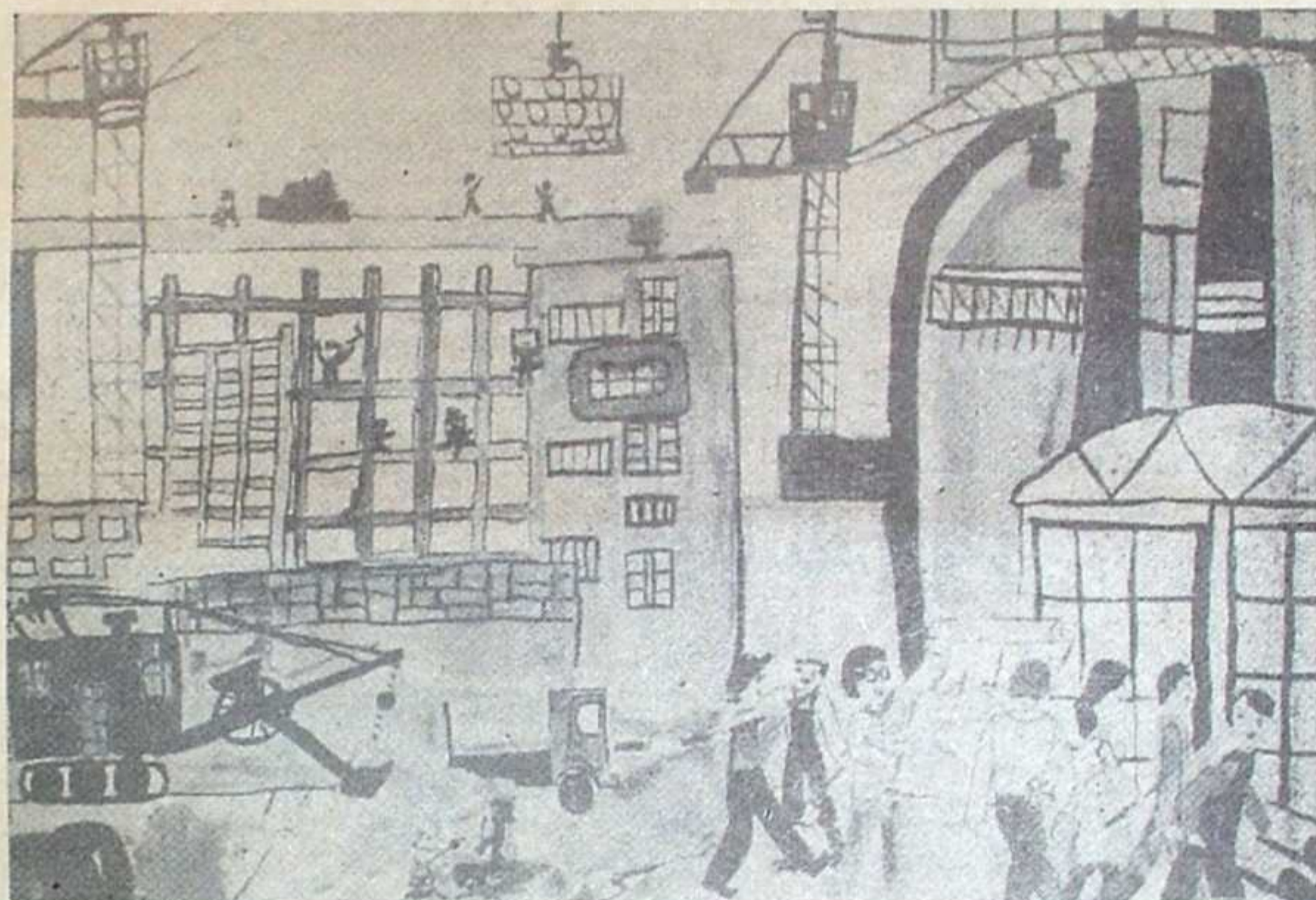
LUBLIN 14 VII 1974 Nr 14 (552)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

Rytmek  
Maryli Nowak  
kl. IV 12k. 35

**„NA BUDOWIE”**



Z jubileuszowego notatnika

**CHEŁM:**

**nadal bez  
czarowników**

Jerzy Dostatni

**R**OZMAWIAMY już prawie godzinę, głównie o cementowni, ale nie tylko. Mój rozmówca ma przez cały czas pogodną, uśmiechniętą twarz, nawet wtedy, gdy mówimy o wielkich kłopotach, jakie pod koniec roku ubiegłego przeżywała załoga cementowni, gdy wprowadzić produkcję cementu przekraczała plan, ale plan sprzedaży — a teraz tylko on się liczy — był poważnie zagrożony, bo kolej nie dostarczała odpowiedniej liczby wagonów. Zmieniam nagle temat i pytam:

Dokończenie na str. 4-5

**PUŁAWY:**

**szybciej  
niż czas**

Feliks Z. Weremiej

**F**IRANKI lekko zafalowały, po sali przeszedł powiew świeżego powietrza. Pan Aleksander podniósł głowę znad filiżanki i rozszerzył nozdrza.

— O, proszę bardzo... — Łuki brwi zbiegły mu się na czole. — Czuje pan?

— Co?

— „Azoty”! Amoniakem zajechało...

— Amoniakem? To raczej spaliny...

Ruchem głowy wskazują mur soczystej zieleni za

Dalszy ciąg na str. 5

## PIERWSZE DNI

Zygmunt Mikulski

**P**OPLATANE druty telefoniczne, zerwany bruk, czołg z luźną w wystawie sklepu. Lublin 22 lipca 1944.

Ale ludzie, którzy byli świadkami tak naglej zmiany w wyglądzie miasta, wcale nie wykazywali zafascynowania tymi szczegółami. Tu była wolność. Tu już była wolność.

Fakt tak wielki, że zdawał się wykraczać poza bezpośrednie doświadczenie. Nie wystarczała pewnością. Potrzeba było jakiejś innej dyspozycji psychicznej dla objęcia rzeczywistości, która nagle okazała się tak dziwna, chociaż tak oczekiwana. Naozczą wolność przyjmowało się emocją.

Natychmiast zakwitła białoczerwona organizacja społeczna. Osmałone witryny okien obejmowały te dwa kolory wszędzie tam, gdzie powstał nowy urząd, zakład pracy, punkt werbunkowy. Nie zdążyło jeszcze ani jednej cegły wyjąć z gruzów, tak spieszenie było do widomych znaków polskości. Żeby odbudowa, kiedy się zaczęło, miała miejsce na terenie całkowicie oczyszczonym z resztek okupacji.

Zaczęły galopować dni. Zdumiewać szybkością efektów przynoszonych procesem powstawania nowej państwowości. Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, jego resorty i wydziały, urzędy rozsiane po mieście, redakcje dzienników, otwierano na nowo fabryki. Budził się do nowego życia organizm miasta, któremu przypadł zaszczyt zapoczątkowania i zmieszczenia u siebie zębów przyszłego państwowego życia w nowym ustroju.

Dwa nurty stały się widoczne na arenie społecznej i stanowiły specyfikę tego niepowtarzalnego czasu: nieustalony jeszcze entuzjazm i zaczynający się już tok normalizacji. W ten sposób radość z otrzymanej wolności zaczęła wchodzić w rytm pracy otwieranych zakładów produkcyjnych, a normalne zajęła pracownice przesycone były atmo-

Dokończenie na str. 10

**W**YDAJE mi się, że niekiedy bardziej może cieszyć medal srebrny niż medal pozłacany. Holendrzy tak się nastawili na złoto, że zajęcie przez ich drużynę drugiego miejsca wcale ich nie satysfakcjonuje. Zwłaszcza, kiedy już na początku decydującego spotkania jedenastka w pomarańczowych koszulkach prowadziła 1:0. Pełnia szczęścia znajdowała się więc tak blisko...

Marzeniem polskich kibiców piłki nożnej było zakwalifikowanie się naszej drużyny do udziału w mistrzostwach świata. Kiedy po losowaniu okazało się, że paszport do NRF uzyska ona tylko w wypadku wyprzedzenia drużyn Anglii i Walii, chyba tylko najwięksi optymiści wierzyli, iż tę przeszkodę uda jej się przeskoczyć.

Alf Ramsey, były obrońca Tottenhamu i reprezentacji Anglii, a następnie menażer zespołu Ipswich Town, pod koniec sezonu 1962-1963 wziął pod swoją energiczną opiekę kwiata piłkarstwa Anglii. Efekty jego pracy przyszły bardzo szybko: w 1964 r. Anglicy rozegrali 12 meczów, przegrywając zaledwie z Brazylią i Argentyną. Rok następny był jeszcze lepszy: tylko jedna porażka — z Austrią. Ale prawdziwy triumf nastąpił dopiero w 1966 roku: na 17 międzynarodowych spotkań drużyna angielska nie przegrała żadnego! Jedynie trzykrotnie zremisowała: z Urugwajem, Czechosłowacją i... Polską. W tym też roku zdobyła tytuł mistrza świata; przypominajmy poszczególne wyniki: z Urugwajem 0:0, z Meksykiem 2:0, z Francją 2:0, z Argentyną 1:0, z Portugalią 2:1 i wreszcie w finale z NRF po dramatycznych zmaganiach 1:0 po dogrywce 4:2.

Sledziliśmy te mecze na ekranach telewizorów i ciągle mieliśmy je w pamięci. Skłonni byliśmy nawet nie pamiętać tego uprzedniego remisu z Polską. A później, gdy dowiedzieliśmy się, że przyjdzie nam grać właśnie z Anglią, zapominaliśmy, iż na mistrzostwach świata w Meksyku drużyna Ramsey'a nie odegrała już prawie żadnej roli. Doszła wprawdzie do ćwierćfinału (ale co znaczył dla niej ćwierćfinał?), ale tu przegrała z NRF i wypadła z dalszych rozgrywek.

A może nie zapominaliśmy? Może właśnie ta porażka utwierdziła nas w przekonaniu, że Ramsey wykorzysta wszelkie możliwości, aby zrewanżować się za Meksyk? Aby powtórzyć sukces z 1966 roku i w finale pokonać NRF

lub Brazylię, aktualnego mistrza świata?

Anglii na drodze do Monachium stanęła Walia i Polska.

To już historia. Po każdym meczu eliminacyjnym zmieniały się nastroje. I wśród kibiców polskich i wśród angielskich. Kibice walijscy też nie traciли nadziei. Walia przegrała wprawdzie z Anglią u siebie, w Cardiff, ale mecz rewanżowy na Wembley zakończył się remisem. Kiedy więc w dniu 28 marca 1973 r. pokonała drużynę polską w sto-

jasne. Polska trafiła na Włochy, Argentynę i Haiti.

I znów pesymizm. Włoch — siedmiokrotni finaliści mistrzostw, mistrzowie świata z 1934 i 1938 r., wicemistrzowie sprzed czterech lat. Bramkarz Zoff, który od wielu miesięcy nie puścił ani jednego gola. Argentynczycy — pięciokrotni finaliści. Haitińczycy — wielka niewiadoma.

Mimo wszystko, mimo złotego medalu olimpijskiego nie docenialiśmy naszej drużyny. Już sam udział w mi-

czwartą pozycją. A my mamy srebrny medal!

Gdy Brazylija zdobyła przed czterema laty mistrzostwo świata, ogłoszono w tym kraju dwudniowe święto państwowe, a brazylijski minister spraw zagranicznych domagał się nawet przyznania gwiazdom piłkarstwa specjalnych paszportów i statusu półdyplomatycznego! Dobrze, że tego nie uczyniono, bo dziś na piłkarzy brazylijskich czeka już w kraju policja. Żeby zapewnić im ochronę. Przed linchem. Z południowym temperamentem nie przelewkii!

Można by dodać to, o czym mówię wielu rodaków: gdybyśmy mieli odrobinę szczęścia, to i złoty medal powędrowałby do Warszawy...

Ludzie kochani! A gdybyśmy mieli mniej szczęścia? Bądźmy szczerzy (nie umniejszając bynajmniej sukcesu polskiej drużyny — to zastrzeżenie jest konieczne): gdyby sędzia nie zauważył (a mógł!) tego faulu na Szarmachu, za który w czasie meczu z Jugosławią poddyktował rzut karny? Gdyby Tomaszewski nie obronił (a mogło to się zdarzyć) rzutu karnego w czasie meczu ze Szwecją? Gdyby sędzia ostrzej zakwalifikował postępek Kasperczaka wobec napastnika Brazylii?

Wiem, wiem! Ludzie kochani odpowiedzą: a gdyby NRF chociażby zremisowała z NRF i nam przyszło walczyć z tą drużyną w półfinale, a nie z późniejszym mistrzem? Gdyby w czasie meczu z NRF było inne boisko? Gdyby i w finałach grał każdy z każdym, to znaczyłoby dodatkowo z Holandią, a NRF z Brazylią?

Piłka jest okrągła. Każdy chce wygrać. Nasza drużyna strzeliła największej bramki. Polak, Grzegorz Lato, jest królem strzelców, zebraliśmy olbrzymią moc życzliwych recenzji, potwierdziliśmy, że nasz olimpijski medal nie jest pozłacanym świecidełkiem. Zdobyliśmy teraz srebro. Zdobyliśmy to srebro w trzydziestolecie Polski Ludowej. Zdobyliśmy srebro walcząc z zawodowcami.

Mało? Dla mnie wystarczy. I tak może nam się w głowach przewracać!

M. A. Jaworski

# SREBRNO!

sunku 2:0, otworzyły się przed nią realne szanse awansu.

Z kolei nasi kibice smętnie opuszczali głowy. Wydawało się, że Cardiff to już ostateczna klęska...

A potem przyszedł pamiętny mecz z Anglią w Chorzowie. 1:2 dla Polski. Wspaniały sukces i wielkie nieszczeście: wyeliminowanie z gry Lubańskiego. Zwycięstwo z Walią również w Chorzowie (3:0) pokazało naszym konkurentom, że z Polakami trzeba się jednak liczyć.

I wreszcie Wembley 17 października. 90 minut, które można zapamiętać przez całe życie. Anglicy niedawno rozgromili Austrię 7:0. Mecz z Polską wydawał im się zwykłą formalnością. Rozczarowali się srodze. Paszporty do NRF zdobyła drużyna biało-czerwonych...

Trudno było uwierzyć w ten wielki sukces. Polska wśród szesnastu najlepszych!

Dopiero teraz zaczęły się emocje. Ze ściśniętymi sercami czekaliśmy na wyniki losowania.

5 stycznia 1974 r. wszystko stało się

strzostwach uważaliśmy za sukces. I śmiem sądzić, że nawet gdyby nie udało się polskiej jedenastce przebrnąć przez kolejne sito i znaleźć w najlepszej ósemce nie mielibyśmy do niej żalu.

Biało-czerwoni stali się jednak wielką rewelacją. Wyniki poszczególnych spotkań ciągle jeszcze mamy w pamięci. Polska — Argentyna 3:2, Polska — Haiti 7:0, Polska — Włochy 2:1. Wicemistrz świata z Meksyku wyeliminowany z dalszych rozgrywek. Tego nikt się nie spodziewał.

Nasza drużyna w półfinałach. I znów zwycięstwa. Nad Szwecją 1:0, nad Jugosławią 2:1.

Mecz z NRF. To już nie piłka nożna, ale piłka wodna. Obie strony nie są w stanie zaprezentować wszystkich swych umiejętności. Ostatecznie szczęście uśmiecha się do NRF. Po raz pierwszy przegrywamy, choć zaledwie 0:1.

I ostatni występ. Tym razem Polska zwycięża w stosunku 1:0. Dotychczasowy mistrz świata musi się zadowolić

# W którym żyjemy

## Z SZYBKością TRAMWAJÓW KONNYCH

**Z**ACHODNIONIEMIECKI „Der Spiegel” zwraca uwagę na fakt, iż w roku 1972 Francuzi wydali 49 mld franków na prywatną komunikację samochodową, ale tylko 10 mld franków na publiczne środki lokomocji. Skutek: przeciętna szybkość dzisiejszego paryskiego autobusu na zablokowanych przez prywatne wozy ulicach wynosi 10,5 kilometra na godzinę i jest niewiele większa niż szybkość tramwajów konnych z końca ubiegłego wieku.

## MŁODZI NARKOMANI RFN

**O**PROBLEMIE narkomanii w RFN pisze zachodniemiecki tygodnik „Die Zeit”. Pismo stwierdza, że nieco za wcześnie odtrąbiono alarm. Narkomania nie zmniejszała się, tylko zmieniła strukturę. Konsumpcja narkotyków zeszła do społecznie niższych warstw i objęła nawet młodzież w wieku 12-14 lat! Wskutek tego znacznie zmniejszyły się szanse terapii opartej na przekonywaniu.

Konsumentów narkotyków można z grubsza podzielić na trzy kategorie, a mianowicie: próbujących, konsumentów umiarkowanych i konsumentów nalogowych.

Grupa próbujących, to jest osób, które dwa lub trzy razy paliły haszysz, jest z natury rzeczy bardzo liczna. W RFN liczy ona setki tysięcy osób, przeważnie uczniów gimnazjalnych.

Grupa umiarkowanych konsumentów wzrasta, ale niezbyt dynamicznie. Wśród tej kategorii konsumentów narkotyków są też młodociani w wieku 12-14 lat.

Najszybciej wzrasta liczebność grupy narkomanów nalogowych, co też dotyczy młodocianych.

Rzut oka na sytuację anno domini 1974 — stwierdza tygodnik — daje ciemny, przynębiający obraz. Zagroża rezygnacja. Podjęte próby rozwiązania różnych problemów społecznych osób dotkniętych narkomanią utkwily w zarodku, zaś inicjatywy reform napotkały na administracyjne przeszkody.

## ZATRUTA ATMOSFERA

**K**AZDEGO roku produkuje się co najmniej 500 nowych substancji toksycznych, które stwarzają poważne niebezpieczeństwo dla zdrowia ludzkiego. „Przygotowujemy nowym pokoleniom monstrualny spadek, który może mieć katastrofalne skutki dla ludzkości” — oświadczył dr E. S. Palomera na sesji Meksykańskiego Towarzystwa Gastroenterologii. Jego zdaniem zanieczyszczenie środowiska wywołuje poważne zaburzenia systemu nerwowego, układu krążenia, a nawet ujemnie wpływa na system kostny człowieka, nie mówiąc już o tym, jak bardzo utrudnia oddychanie.

Karygodny wypadek zdarzył się w kwietniu w stolicy Meksyku. W zakładach chemicznych przez pomyłkę połączono kwas chlorowodorowy z podchlorynem sodowym. Z połączenia obu substancji wytworzył się gaz chlorowy w wielkich ilościach, co stworzyło śmiertelne niebezpieczeństwo dla mieszkańców okolicznych rejonów. Ponad tysiąc osób wykazało objawy poważnego zatrucia. 335 osób trzeba było umieścić w szpitalach.

## JESZCZE O TELEWIZJI

**O**TELEWIZJI można nieskończenie... Wprowadzony przez rząd Indii telewizyjny program oświatowy na temat planowania rodziny sprawił, że dziesiątki tysięcy mieszkańców tego kraju osobiście zainteresowały się tym problemem i zwróciły się o porady do odpowiednich ośrodków. Według wielu indyjskich specja-

listów telewizja może się okazać jednym z najbardziej skutecznych środków ograniczenia przyrostu demograficznego.

W 1975 r. przy pomocy amerykańskiego satelity ATS-F programy oświatowe indyjskiej produkcji będą przekazywane do ok. 5 tysięcy zapadłych wsi indyjskiego subkontynentu. W ten sposób zostanie zapoczątkowany system nadawania transmisji do najbardziej niedostępnych i odległych punktów naszego globu. Podobnie jak chłopci — stwierdza amerykański tygodnik „Newsweek” — zamieszkujący rejon Andów w Ameryce Południowej przekroczyli etap transportu samochodowego, przechodząc bezpośrednio z pieszych wódek do komunikacji lotniczej, tak i inne prymitywne grupy ludności w różnych krajach przejdą zapewne od absolutnej niemal izolacji do łączności telewizyjnej, dokonując tym samym wielkiego kroku naprzód.

Światową telewizję zmieni system kasetowy i kablowy. Na technicznym horyzoncie są już: lekkie kamery telewizyjne, przy których pomocy można będzie rejestrować i przekazywać obrazy z pominięciem żmudnego procesu wywoływania taśmy; kamery rejestrujące nawet w ciemnościach oraz system cyfrowy „CEFAX”, wprowadzany przez BBC, który umożliwi widzom „czytanie” — za naciśnięciem odpowiedniego guzika — 30 stron tekstu.

Ale — martwią się psycholodzy — już dzisiaj przeciętnej telewizja, aplikowana w nadmiernych dawkach, może mieć negatywny wpływ na stan zdrowia psychicznego. Zresztą fakt nalogowego oglądania telewizji został udowodniony. W RFN np. dokonano ciekawego eksperymentu: wybrano około 200 „zawziętych” widzów i poproszono ich, aby za znaczne wynagrodzenie pieniężne powstrzymali się przez okres jednego roku od oglądania programów telewizyjnych. Już w ciągu trzech tygodni jeden z grupy „ankietowanych” załamał się, a w ciągu następnych pięciu miesięcy ekapitulowali wszyscy...

**W** 1939 roku minąłem Lublin w połowie września, piechotą, w nocy. Miasto było przestraszone, ciemne. Tylko czasami rozbrzmiewały tysiącami ognistych kul i zamierało w grzechocie przeciwlotniczej artylerii, wybuchów bomb, w przyspieszonym marszu konwojów wojskowych, żeby znowu zapaść się w ciemność, milczenie, oczekiwanie, graniczące ze zdumieniem, że już nie można zrobić, że to wszystko, że za dzień, dwa czas nie będzie się już tak samo liczyć.

Blisko pięć lat później nasze wojska, w ramach wielkiej radzieckiej ofensywy, przekroczyły Bug, zajęły Chełm i skierowały się na Lublin. To również nie odbywało się tak uroczysto, jak się o tym dziś mówi i pisze. W pośpiechu, w pyłe dróg przesuwały się oddziały żołnierzy, warczały gasienice, traciły oddech ciężarówka. Niekiedy grupy willisów miały kolumny. Kłnąc, przepuszczano je w marszu. I chociaż wojska hitlerowskie, spychane za Wisłę, były stosunkowo daleko, nierazdkiem na okrzyk „lotnik” powstawało zamieszanie, zaczynała strzelać artyleria, czasami serie automatów, a furgonetki zjeżdżały do rowów, hamując ruch.

Do Lublina wkraczaliśmy bez walki, a zmęczony brzask — po nieprzespanej nocy, która ustępowała niechętnie — z trudem rozróżniał w porannej mgłę pierwsze kontury domów. Ludzie nie byli jeszcze pewni swoich losów, ale na widok polskich żołnierzy coraz tłumniej wylegali na chodnik. Pierwszą nieufność przełamały kobiety. Pojawiały się kwiaty; zatrzymywano oddziały, czołgi, żołnierze mieli łzy w oczach, tłumione uśmiechem powitania. Trzeba było niejednej interwencji dowództwa, żeby móc posuwać się dalej.

Za wojskiem wjeżdżały władze. Przedstawiciele Krajowej Rady Narodowej i PKWN instalowali się w ocalałym gmachu Urzędu Wojewódzkiego, który w pośpiechu rozbijali saperzy. „Min niet” — krótki napis, który wówczas oznaczał życie. Straszliwe wiadomości z Majdanka i liczby pomordowanych w więzieniu na Zamku przytłumiały jednak radość. Rzeczywistość była okrutniejsza niż przypuszczano. Kraj stratawany; ludzie wyłazili, szukając się nawzajem, interwencjom nie było końca. Władze cywilne i wojskowe uzupełniały się w działaniu.

Punktem oparcia dla pisarzy i ludzi nauki był kapitan Jerzy Borejsza. Dwoił się i troił. Odnalazł Juliana Przybosa, i „mianował” go pierwszym prezesem Związku Literatów, którą to decyzję potwierdził najbliższy Zjazd Związku, odbywający się w Lublinie. Z obozowych drelichów wyłonił się Jaracz. Był śmiertelnie chory, ale oczy mu płonęły. Władysław Krasnowiecki werbował aktorów i kuchnię polową zamienił na tymczasową stołówkę. Hanemann, minister finansów PKWN, rozdawał zapomogi z państwowej kasy, którą trzymał w kieszeni, na próżno błagając o kwity. Był przecież z zawodu głównym księgowym, a to w każdej sytuacji coś znaczy. Wincenty Rzymowski, pierwszy minister spraw zagranicznych ludowej władzy, twierdził z przekonaniem, że Hanemann był najlepszym ministrem finansów, jakiego znalazł kiedykolwiek. Nigdy nie liczył pieniędzy, które rozdawał, i zawsze rozdawał pieniądze, których nie miał.

A Wincenty Rzymowski znał nie byle kogo. Czołowy dziennikarz przedwojennego „Kurier Porannego”, redagowanego przez Wojciecha Spiczynskiego, miał nie najgorsze stosunki z „lewicą” sanacyjną. Osobiście był przyjacielem byłego prezesa Rady Ministrów Kazimierza Bartla, zamordowanego w 1941 roku przez hitlerowców we Lwowie. Był członkiem Klubu Demokratycznego i jako człowiek wyjątkowo uczciwy i postępowy od pierwszych dni Krajowej Rady Narodowej współpracował z nią ściśle.

Wojsko Polskie, prosto z marszu, szło na przeprawę pod Puławami, gdzie zginął żołnierz i poeta Lucjan Szczygiel, w coraz to trudniejszych warunkach, zbliżało się do Pragi, żeby stworzyć przedpole dla udzielenia pomocy Warszawie, płonącej w ogniu powstania.

Minęły lata. Zmienił się ludzie. W okresie ostatniego trzydziestolecia byłem w Lublinie wielokrotnie. Przemawiałem z ramienia partii i rządu podczas pogrzebu ofiar zamordowanych na Zamku. Brałem udział w żałobnych uroczystościach na Majdanku i korząc się przed ciałami pomordowanych szedłem drogą Ich martyrologii z wyobraźnią bezbronna wobec okrucieństwa człowieka. Wielkie dni Lublina w rocznicę dziesięciolecia jego wyzwolenia układałem cegła po cegle przy odbudowie Starego Miasta i Zamku. (Najazutrz po wyjeździe dostojnych gości z Bułganinem, Bierutem, Cyraniewiczem i Zawadzkiem, popiliśmy zdrowo z Jankiem Cybisem, Kazimierzem Michalskim, Stasiem Bebenkiem i brygadą artystów plastyków pracujących na murach Starego Miasta. „A chciałem mnie i stad wypędzić — zalił się Cybis. — Gdyby nie Kazik Michalski i Stasio Bebenek, który z ramienia KW się strofował, nie byłbym w stanie dziś wypić z tobą bruderschaftu.”).

I może gdyby nie te dziwne koleje losu, które zaszły się o siebie na przestrzeni lat co najmniej dwudziestu, ówczesny przewodniczący Prezydium WRN, poseł na Sejm, mgr Paweł Dąbek, nie „wydębiłby” ode mnie decyzji o wybudowaniu nowoczesnej Rozgłośni Lubelskiej, której sala koncertowa jest przedmiotem zazdrości nawet Warszawy. Władysław Gomułka, będąc na lubelskim Zjeździe Związku Literatów w latach sześćdziesiątych, dziwił się, że nawet ementarz jest w tym mieście tak blisko radia, dzięki czemu nikt rozgłośni nie przeszkadza pracować.

Był to dziwny zjazd, na którym katolicki pisarz Alfred Laszowski proponował odłożyć spory o istnienie Boga na czas pogrzebowy i poświęcić się sprawom Polski Ludowej, co zostało powszechnie przyjęte jako wniosek Jerzego Putramenta, który w roli stałego wiceprezesa wiecznego prezesa Jarosława umiał zabiegać w trudnych sporach o poparcie wszystkich. Miałem wówczas autorskie spotkania w nowej dzielnicy mieszkaniowej, po której

blądziłem bezradny w tak dobrze znanym mi mieście. Pytano mnie o sprawy różne, a najczęściej o telewizję, nie dającą spać, czy jest, czy jej nie ma, ale w każdym wypadku będąca natrętnym gościem, bez którego ani rusz, zwłaszcza gdy chodzi o mecz piłki nożnej.

Podczas wyborów do Sejmu w 1972 roku zostałem posłem Ziemi Lubelskiej, ściśle lubelskiego Podlasia z okręgu Radzyń-Luków-Biała Podlaska-Międzyrzec-Parczew-Lubartów. Sam się dziwię, że tyle miałem mam prezentować w Sejmie, ale takie są wyroki władzy ludowej.

Lubię ziemię podlaską, ziemię niełatwą, o trudnej historii i twardym ludzie. Tutaj broniono naszych rubieży przed najazdem Prusów i Jaćwingów. Tędy przechodził Trakt Królewski z Warszawy na Litwę i dziś jeszcze zachował się jego fragment w lasach powiatu parczewskiego. Na tym zielonym łęgowskim stykały się wpływy Rzeczypospolitej Polskiej, Litwy, Białorusi i Ukrainy. Niedaleko było stąd na wszystkie strony świata i może dlatego lud tej ziemi jest tak rdzennie polski, chociaż Laszki uwożono na Litwę, a Litwinki do chat Podlasia. Twardy i patriotyczny wyszedł z tego lud podlaski i mocno zapisał się w czasie walk partyzanckich z hitlerowskim okupantem. Leżą tu wspólne groby radzieckich i polskich żołnierzy, radzieckich i polskich partyzantów, szeregi mogił pomordowanych, spalonych i zamęczonych. Historię nosi

którymi pracowałem jeszcze w Kowlu w pamiętnym 1939 roku. Międzyrzec zdobył się na towarzysystwo naukowe, godne filii Akademii Nauk. A w Parczewie jestem po prostu zakochany, nie dlatego, że żona sekretarza Komitetu Powiatowego grała w teatrze amatorskim i wyglądała prześlicznie, lecz że to miasto, zapomniane przez Boga i ludzi, potrafi się nie dać. Zbudowano własnym sumptem własną szkołę. Piękne kościoły zachowano w niekniętym profilu, a socjalizm uczyniono stanem tak naturalnym, że na spotkaniu z gospodarzami wsi okolicznych przekonywano mnie długo i uparcie, że chłop indywidualny wszedł przy pomocy kółek rolniczych tak dokładnie w planowanie centralne, iż bez niego gospodarka kolektywna nie mogłaby istnieć.

Najczęściej jednak bywałem w powiecie lubartowskim. Nie dlatego, że blisko Lublina, gdyż nawet do Lubartowa jeździłem przez Radzyń, lecz zapewne dlatego, że mnie tam zapraszano najczęściej, a filia Kasprzaka przypominała Warszawę. Nie przez wielkość swoich zabudowań fabrycznych. Wręcz przeciwnie. Natomiast młodzież tego zakładu, w ogromnej większości o średnim technicznym wykształceniu, jest znakomita. Czulem się tam jak na politechnice, a pytania miałem nawet mądrzejsze. Podobnie zresztą na spotkaniach w ogólnokształcącej szkole, która wyróżnia się czystością, funkcjonalnym rozwiązaniem i entuzjazmem swojej kadry pedagogicznej.

Lubartów ma również swój własny zabytkowy zamek. Jakże zresztą miasto na Podlasiu i całej Lubelszczyźnie pozbawione jest zabytkowych gmachów? Nawet szlachta miała tutaj wielkie ambicje narodowe, a budując Zamość zdumiała Europę. Nic dziwnego, że hitlerowcy chcieli go zniszczyć na równi z Warszawą. A dziś Zamość stoi. Ma swoje dzielnice nowoczesne, przemysłowe, odbudowuje zabytkowe. Można już podziwiać Akademię Sztuk Pięknych hrabiego Zamojskiego i włóczyć się pod arkadami, lądując w winiarni na przepięknym renesansowym ryneczku. Tylko do Hrubieszowa ciągle daleko, a może mnie się tak jedynie wydawało, bo nie jestem stamtąd posłem i nikt mnie nie przywitał w miejscowej restauracji. Za to ziemię Hrubieszów ma znakomitą, tylko wywieść

## SPOJRZENIE Z MARSZU

Włodzimierz Sokorski



Fot. M. Kostrzewski

w sobie każda rodzina i ta, która walczyła i ta, która dziś buduje Polskę. A są to rodziny jedne i te same, gdyż nikt stąd łatwo się nie rusza, ale rzadko kto w ten kat, tak blisko położony Warszawy, przyjeżdża.

Nawet niepodległość nie przychodziła tu łatwo. Należało z karabinem w rękę bronić reformy rolnej. Przynależność do PPR była bohaterstwem. Sekretarze żyli krótko, bandy działały jeszcze w pierwszych latach pięćdziesiątych. I znowu groby i znowu ludzie, którzy ginęli w walce, a później leżeli koło siebie. Taka już jest trudna historia tego kraju, że nawet wrogowie mieli mogiły tak blisko siebie, że nie mogli się z nimi rozminąć.

I może dlatego budować nową Polskę tutaj zaczęto także stosunkowo późno. Pierwszy „wysoczył” na miasto przemysłowe Luków. Radzyń, obok starego Zameczku, podciągnął kolorowe źródła. Rozmachnęła się Biała Podlaska i fundnęła sobie Akademię Wychowania Fizycznego, nie mówiąc o przemyśle spożywczym, i słynnych ogórkach. Janów Lubelski ma najlepszą w Polsce stadninę. A co jest piękniejszego niż koń, wobec którego człowiek nie może się schować nawet do bryczki? Pod Terespołem wyrósł największy port suchy w Europie. W mieście tym spotkałem kolejarzy, z

stamtąd buraki w szarugę jesienną ciągle jest problemem.

Nie mieszajmy się jednak do spraw nie swoich. Nie darowałby mi tego pierwszy sekretarz KW w Lublinie, towarzysz Piotr Karpiuk, chociaż jest moim przyjacielem. Ale od przyjaciół wymaga się więcej, niż od innych i tak być chyba powinno, mimo że, niestety, nie zawsze tak bywa. W każdym razie, wracając z terenu do Lublina, nie potrafię go już dzisiaj poznać. Może Stare Miasto trochę się sypie, ale nowe dzielnice na wzgórzach dają temu miastu rangę przyszłości. Nie chcę powiedzieć przez to, że Lublin po raz trzeci będzie w historii naszego narodu stolicą Polski, ale coś jest w tym mieście, że wzbiega naprzód. I w tej wizji własnej roli jest również składowa częścią całego naszego kraju i jego wysiłku w dobie Trzydziestolecia.

# CHEŁM: nadal bez czarowników

Dokończenie ze str. 1

— A czy nie nudzi się pan w tym Chełmie? Chodzi mi o popołudnia, wieczory...

— Nudzić się? Nie znam takiego uczucia — powiada mgr inż. Janusz Biszewski, z funkcji główny inżynier utrzymania ruchu w cementowni. — Nudzić się można tak samo w Warszawie, Krakowie, Chełmie i Kaczym Dole, jeżeli czło-



Pomnik Braterstwa na pl. Gdańskim — proj. Henryk Jędrzejewski

Fot. J. Trembecki

wiek nie znajdzie swojego miejsca w życiu. Gdy z Rejowca pojechałem na studia do Warszawy, poza kilkudniowym zagubieniem się w dużym mieście nie odczułem wewnątrz wielkiej różnicy, uczyłem się tu i tam. Gdy po dyplomie wróciłem do Chełma, też nie odczułem skoku.

— To chyba wynika z pana wrodzonego optymizmu?

— Nie tylko. Wszystko zależy od tego, jak sobie człowiek zorganizuje czas, z jakimi ludźmi utrzymuje kontakty, czym się interesuje. Stanie pod budką z piwem w Chełmie jest rzeczywiście nudniejsze niż stanie pod taką budką w Warszawie. Ale przeczytanie ciekawej książki, dyskusja na interesujący temat nie jest związana z miejscem zamieszkania. Program telewizyjny mam taki sam, radiowy też, pisma również, z niedużym opóźnieniem mogę zobaczyć te same filmy. Do teatrów chodzę w całej Polsce, korzystając z dość częstych wyjazdów służbowych.

— Odywał pan praktykę we Francji, był pan w NRD i na Węgrzech. Jednak nie każdy ma te możliwości...

— Szanse ma każdy, tylko trzeba chcieć z nich skorzystać. Po prostu najpierw się uczyć, a potem dobrze wykonywać swoje obowiązki. Tymczasem teraz niektórzy młodzi są skrzywieni na życie — sami zresztą nie wiedzą dlaczego; inni nie zastanawiają się nad tym, jak pracować, ale za ile. Ja zaś wyżywałem się w racjonalizacji. Razem z kolegami inż. Wiesławem Piotrowskim, Leonardem Semenikiem, inż. Tadeuszem Wierzonem i Franciszkiem Zielińskim jestem współautorem patentu na dwustrumieniowe wentylatory. Już sam mam kilka wniosków racjonalizatorskich, a dwa wnioski patentowe są w badaniu. Działam w ZMS, jestem przewodniczącym Klubu Techniki i Racjonalizacji. I jak tu się nudzić?

Biję się w piersi i przepraszam. Pytanie o nuda nasunęły mi

wspomnienia z lipca czy sierpnia 1940 roku. Cotygodniowym rytmem jechałem wtedy z Warszawy do Lublina, w Lublinie na dworcu była łapanka i pojechałem dalej. Pół doby spędziłem wtedy w małym, istniejącym do dzisiaj hoteliku chełmskim, spoglądając tylko zza firanki na pustawę chodniki.

Dzisiaj myślę, że inż. Biszewski jest dość typowym przedstawicielem młodych ludzi z Chełma. Nie chodzi mi o patenty, ale o sposób myślenia, działania, stosunku do życia. Prawdą jest, że przez kilka lat Chełm żył tylko wspomnieniem historycznych dni lipca 1944 roku. Zanim zaczęto budować pierwszą cementownię, młodzież miasta i powiatu w dużej części musiała szukać pracy w innych rejonach województwa lub kraju. Pierwsza cementownia rozpała wiele nadziei — spełniła je dopiero druga. Wraz z nią szybko rozbudowywano miasto, przebudowywano ulice, wzbogacano infrastrukturę techniczną miasta. Odpowiedzią ludzi było rozpoczęcie wypału pół roku przed oznaczonym terminem w tzw. IV nite produkcyjnej. Gdy w Lublinie i w kilku innych miejscowościach zabrakło prefabrykatów na budowę domów patronackich ZMS, członkowie tej organizacji w cementowni wyprodukowali poza planem odpowiednią ilość brakującego cementu.

— Pisał pan przed pięciu laty w „Kamieniu” — wypomina mi I sekretarz KP PZPR w Chełmie, Benedykt Struzik — że część młodzieży ucieka z naszego miasta i powiatu. Chyba od roku odpływ już ustał. Dzisiaj każdemu zapewniamy pracę, nawet wszystkim kobietom, a jeżeli chodzi o mężczyzn, to odczuwamy ich brak. W gospodarce uspołecznionej w mieście i powiecie pracuje już 37 tys. ludzi, w samym przemyśle ponad 15 tys. W zeszłym roku miasto uzyskało 400 mieszkań, w tym będzie 500 i przez najbliższe lata powinno być co roku przynajmniej po 500. Kłopot tylko z tym, że brakuje ludzi do budowy.

— Przed pięciu laty pisałem też o kryzysie w Chełmskiej Spółdzielni Mieszkaniowej i Chełmskim Przedsiębiorstwie Budowlanym, które wtedy należało do najgorszych w województwie...

— Rzeczywiście tak było, ale teraz jest inaczej. W spółdzielni dawniej więcej mówiono o planach, teraz więcej o tym, co się rzeczywiście robi, a robi się niemało. Chełmskie Przedsiębiorstwo Budowlane należy dziś do najlepszych w województwie, a jesteśmy przekonani, że w związku z oddaniem do użytku fabryki domów w Zamościu jego praca będzie jeszcze bardziej efektywna. A wszystko dlatego, że postawiliśmy na ludzi młodych, ich wysunęliśmy na stanowiska kierownicze, przede wszystkim kierowników budowy. Oprócz wiedzy mają fantazję, w granicach rozsądku podejmują ryzyko, są rzeczywiście zaangażowani w to, co robią. Prawda, zdarzają się wiatki, ale ośmi młodych oceniam bardzo pozytywnie. Oni wiedzą, że jeżeli budujemy drugą Polskę, to przeciw dla nich.

— Chyba najmłodsza załoga ma fabryka butów. Zatrudniła ona już 4158 osób, a więc więcej niż przewidziano przed pięcioma laty. Pisałem wtedy: zatrudnienie docelowo określa się na 4 tys. osób. A z załogi 3120 to kobiety, głównie dziewczęta, które przedtem nadziei nie pracowały, nie zetknęły się z maszynami, dyscypliną pracy...

— Prawda, ale wynikała z zaskakująco. Jeszcze w czasie budowy zakładu, właściwie wbrew lozose, rozpoczęto produkcję. W jednym końcu hali montowano maszyny, w drugim już robiono buty i to zupełnie dobrze. I właśnie ta młoda, przelotnie jeszcze nie w pełni kwalifikowana załoga przetrwała w realizacji części produkcji na czeski XXX-lecie Państwa Ludowej. Swój 15 milionów złotych wykonał już w czerwcu i właśnie osiągnęła — 3 miesiące przed terminem — pełną zdolność produkcyjną. W

drugim półroczu dadzą produkcję wartości 600 mln zł, w przyszłym roku wartości 1,2 mld zł. To chyba wystarczy za wszelkie pochwały.

— Przed pięciu laty — przypominam — założyłem się z waszym poprzednikiem, że „Chełm II” nie ruszy w terminie, bo były poważne opóźnienia w dostawie urządzeń dla cementowni. Usłyszałem wtedy również, że w Chełmie nie ma czarowników, nawet tytuł artykułu był „Chełm dzisiejszy — bez czarowników”.

— No cóż, zakład redaktor przegrał, „Chełm II” ruszył w terminie. A czarowników od przynajmniej 500 lat nie było i nie ma do dzisiaj. Są ludzie, którzy umieją i chcą pracować. Zwłaszcza młodzi, już o tym mówiłem.

A jednak do tego, co pisałem przed pięciu laty, muszę wnieść pewne poprawki. Przepisuję z

Idę wolno przez miasto, potrącany przez spieszących się ludzi. Rozbudowany stadion, zielone osiedle ChSM... Na ocienionej drzewami skarpie groby żołnierzy polskich i radzieckich. Na tle różnokolorowych kwiatów i zieleni jaśnieją białoszare tablice nagrobkowe. Przed nimi świeże i już nieco przywidłe wiązanki — znak ludzkiej pamięci i wdzięczności...

Na Starym Mieście jak zwykle nieco sennie. W małych domkach małe sklepiki, tylko odnowiona „Oaza” rozpięta się na pół czegoś, co mogłoby być rynkiem, ale nim nie jest. Część domów ma nowe elewacje, wokół dwóch stoją rusztowania, pozostałe — które już dawno zyskały sobie miano ruder — przeżywają agonię. Projekty właściwego zagospodarowania tego nibyrynku dojrzewają już dawno, ale jakoś nikt nie może zdobyć się na ostateczną de-



Ulica Lubelska

Fot. J. Huzar



Hala produkcyjna fabryki butów

Fot. J. Polski

„Kamień” nr 15 (422): Wychodzę na szerokie schody gmachu, który na zawsze wszedł do historii Polski. Wielki Plac Zwycięstwa wypełniony jest słońcem i zielenią, przesycony zapachem i kolorami tysięcy kwiatów. Przed 25 laty kilkadziesiąt tysięcy ludzi z zapartym oddechem, ze łzami w oczach, właśnie tutaj uczestniczyło w narodzinach Polski Ludowej. Tuż obok na ścianie pamiątkowa tablica: „W tym domu...” Na prawo z ośmiu kominów cementowni unosi się biały dym, na lewo dwa nowe osiedla mieszkaniowe. A w perspektywie na wprost nowy dworzec kolejowy...

Poprawka pierwsza: to już przed 30 laty, a nie przed 25. Poprawka druga: na prawo nie osiem, ale dwanaście kominów cementowni, które w tym roku dostarczą krajowi przynajmniej 3725 tys. ton cementu. Poprawka trzecia: po prawej stronie placu przybyło nowe osiedle mieszkaniowe. Uzupełnienie pierwsze: wszystkie ulice wokół zostały wylane asfaltem, chodniki poprawione. Uzupełnienie drugie: obok dawnego gmachu PKWN wzniesiono duży wykop pod dalszy budynek użyteczności publicznej.

czyją: wyburzyć i zbudować nowe. Wprawdzie z 5 km podziemi 4,2 km już zasypano, ale kredowy, wciąż jeszcze zawilgocony grunt skutecznie odstrasza od nowych realizacji. A w tych pozostałych 800 m też nie wszystko urządzono tak, jak zapowiadano.

Tymczasem na drugim końcu ulicy Lubelskiej, przed przejazdem kolejowym, warczą spychacze i ciężarówki. Będzie mi potem mówił naczelnik miasta, inż. Stanisław Szymanko:

— W starej części miasta 60 proc. zabudowy jest do wyburzenia, chociaż chcemy zachować, co się tylko da. W przyszłym roku będzie narzeczcie dokumentacja. Już dziś wiemy, że będzie dużo kłopotów z tą nową zabudową, raczej plombowa, która musi być podobna do starej, ale nie identyczna. Cementowanie podziemi ukończono w marcu, ale wszystko przemawia za tym, że są jeszcze dalsze, nie znane nam dziś podziemia, trzeba będzie szukać dalej.

— A co tam się dzieje na ul. Lubelskiej? Przejechać trudno, przejeść również.

— Budujemy tzw. małą obwodnicę, od Rejowieckiej do Hrubieszow-

skiej, inaczej ruch samochodowy nas zadusi, nie mówiąc o zagrożeniu Starego Miasta. Do lipca wykonamy obwodnicę od Lwowskiej do Hrubieszowskiej oraz rondo przy Lubelskiej, ale jeszcze będzie brak połączenia przez ul. Jordana. Coś, narzeczcie łącznie z wiaduktem nad torami kolejowymi, ma być gotowa w kwietniu 1977 roku, ale będzie na koniec 1976 roku. Potem zabierzemy się do obwodnicy południowej, która też pobiegnie do ul. Hrubieszowskiej. Ta pierwsza, północna, będzie kosztowała ponad 100 milionów złotych.

— Taki pan już dzisiaj pewny, panie naczelniku, że wykonacie cztery miesiące przed wyznaczonym przez fachowców terminem?

— Idę o zakład, że tak będzie. Jak wiadomo, najtrudniej jest zawsze z budownictwem mieszkaniowym, chociaż ono niby najważniejsze. Tymczasem my tu w Chełmie w ciągu pierwszych trzech lat pięcioletki wykonaliśmy 82 proc. planu budownictwa mieszkaniowego, w grudniu wykonamy całą pięcioletkę, a przyszły rok to już nasz czysty zysk. W lipcu oddamy 30-mieszkaniowy budynek patronacki ZMS, będzie w nim tysięcy w województwie i dziesięciotysięczne w kraju mieszkanie uzyskane w ten sposób.

— Nie chcę być zasypany liczbami, ale kilka przyda się.

— W roku 1850 Chełm miał 3334 mieszkańców, w 1946 — 23 300, dzisiaj 43 100 stałych i ponad 3 tys. tymczasowych. Po wojnie zbudowano tu 14 tys. izb mieszkalnych. Sieć wodociągowa wydłużyła się z 16,5 km do 73,5 km, sieć kanalizacyjna z 11,2 km do 39,5 km — korzysta z tych urządzeń 70 proc. mieszkańców. Wartość zobowiązań załóg chełmskich z okazji XXX-lecia Polski Ludowej wynosi 73,6 mln zł i niewątpliwie będzie przekroczone.

— Niedawno był u was wojewoda Wójcik i przyznał Chełmowi dodatkowo milion złotych na popieranie czynów społecznych. Widocznie uznał, że chełmianie na to zasługują.

— Rzeczywiście zasługują. Wartość samej robocizny do końca maja oblicza się na 3 miliony zł. Zakłady pracy, szkoły, samorządy mieszkańców — wszyscy biorą czynny udział w tych pracach. Głównie chodzi o porządkę, zieleni, kwiaty. Ale nie tylko. Nareszcie mamy park miejski na Górcie, aż ponad 12 ha, większość prac wykonano społecznie. To właściwie pierwszy obiekt rekreacyjny w naszym mieście. Jest tam fontanna, place zabaw, w zimie tor saneczkowy. Ten ostatni jest mi szczególnie bliższy, bo w dziecięcych i młodzieżowych latach razem z kolegami urządzaliśmy tam zawody saneczkowe, tyle że teren był nie bardzo odpowiedni. W przyszłej pięcioletce po drugiej stronie Górci zamierzamy wybudować basen kryty, halę sportową, boiska i dalsze place zabaw, dokumentacja już się robi. W ramach czynów społecznych robimy też park przy ul. Lubelskiej, skwery na ulicach Kolejowej i Hrubieszowskiej, chodniki, trawniki. W tych pracach doprawdy angażuje się cała ludność miasta.

— Ale na XXX-lecie są także od dawna oczekiwane inwestycje?

— Są. Zaczeliśmy już zespół szkół im. I Armii Wojska Polskiego, zaczynamy wreszcie budowę hotelu, trwają roboty wykończeniowe przy dwóch pawilonach handlowo-usługowych, no i ta obwodnica. W przyszłym roku zaczniemy realizację centrum handlowo-usługowego, o którego kształcie wyloniliśmy z konkursu ogólnopolskiego też kiedyś pisała „Kamena”. No cóż, miasto rośnie i pięknieje, ale potrzeby też wciąż rosną. Na szczęście sił wystarcza, możliwości rosną, a my uczymy się nie mówić, że się chce coś zrobić, ale rzeczywiście robimy. A to, co robimy, uważamy za rzecz normalną.

Jest już wolne od pracy popołudnie. Na chodnikach faluje różnobarwny tłum. Dziewczeta uśmiechają się do słońca i partnerów, starsi zerkają na zapelnione wystawy sklepów, dzieci oglądają się za cukierkami i lodami. Zwykle, chełmski dzień.

Tylko we wtorek 16 lipca nie będzie zwykle. Cała Polska pomyśli wtedy o Chełmie, w którym na Placu Zwycięstwa przed historycznym gmachem znów odbędzie się wiec, znów popłyną słowa Manifestu.

Jerzy Dostatni

oknami. Od zielonego tła ostro odcina się błękit strzelającego smugami dymu fiata i kraciasta koszula właściciela, który od kilku minut nie może uruchomić pojazdu. Pan Aleksander z dezaprobatą macha dłonią:

— Spaliny spalinami, ale przede wszystkim amoniak! My tu lepiej wiemy, co czuć!

Rozmowa utknęła na martwym punkcie. Pan Aleksander melancholijnie miesza łyżeczką kawę. Kawa w „Izabelli” jest podła. Szczypta

komponentów owej nowej substancji, która miała Puławy z ich dawności wyjalowić. Odruchowo zerkam na drzwi Wspaniałe byłoby, żeby z siekiery pod pachą ukazał się w nich Stanisław Grzywacz, chłopski cieśla z Golebia, który swoją siekierą zaciosywał pierwszy kolek do wytyczenia 700 ha obszaru pod „Azoty”. Grzywacza w drzwiach nie ma. A szkoda, bo cechuje go chłopiska dokładność postrzegania i umiejętności barwnego opowieści. Niechby przypomniał puławski rok 1961, pierwszy rok wielkiej metamorfozy. Kiedy spod siekiery Grzywacza wyskakiwały sosnowe drzazgi, całe „Azoty” sprowadzały się do

się puławska niańka batora rozsiadła się na grynocypanej ulicy i obmierzła nuda wsączała się w każdy kąt. Ale i te bajory, i ta nuda, i cała tutejsza niańka były nietypowe. Nad wszystkim tym bowiem czuwał duch Izabeli z Flemmingów Czartoryskiej. Izabelli wyniesionej na puławskie ołtarze, puławskiej świętej i patronki kałuż. Prawda, była Izabela nieprzeciętną białogłową, wysokie były jej zasługi dla rozpadającej się Rzeczypospolitej „czerepów rubasznych”, chciała przemienić Puławy w nadwiślański Luwr, marzyła o koronie dla Czartoryskich i, jako kobieta epoki, nie stroniła od mniej lub bardziej pikantnych romansów. Dzięki jej rodowi mają Puławy piękną kartę w swoich nienajdłuższych dziejach. Zatoniony po uszy w szarzyźnie dni bieżących, z lubością rozpamiętywał puławianin dni dawne, bezpowrotnie minione, szukał w otaczającej go głuzy ech pałacowych festynów, zdawało mu się, że po jego bajorach wciąż jeszcze kłusuje arab księcia Pepi, że dostojny Koźmian zaprosił go jutro na swoją „operę”, że wystarczy wysadzić nos z chałupy, by znaleźć się w rozgwarze ludnego dworu mądrej pani Izabeli. Kontemplował przeszłość, każdy jej wątek rozszczepiał na czworo, wpatrywał się w nią w zachwycie i sam siebie hipnotyzował urokiem przeszłości. Patrząc na Puławy przez pryzmat Izabelowych salonów, przystrajał miasto w rumieńce, które dawno wypłowiły, ranę relikwi po swojej świętej przypisywał choćby ulicy Głębokiej, która była wąskim gardłem w układzie komunikacyjnym miasteczka. Przypominał kokosz, siedzącą na jajach, która nie wie, że skrzydłami otula wydmuszki.

## PUŁAWY: szybciej niż czas

miału, zalana ciepłą wodą, tworzy żółtawą lurę. Cukier wyliczają w kostkach. Jakoś nie pasuje to do kategorii lokalu. Dlaczego tu wszędzie konieczne: „Izabella” a nie „Izabela”, zastanawiam się w milczeniu, a pan Aleksander wciąż niepotrzebnie miesza niby-kawę. Obustronne milczenie zaczyna ciążyć. Wreszcie on inicjuje:

— Przeglądał pan „Tekę Puławską”?

— Jeszcze nie.

— Szkoda. Wie pan co oni dali na czołową pozycję? Artykuł Błońskiego „Kto jest drobnomieszczaninem?” Nic to panu nie mówi?

Nozdrza mojego rozmówcy przestały węszyć za amoniakiem. Teraz z ironicznym uśmiechem w kąciach ust, wpatruje się we mnie przez szpary przymrużonych powiek.

— Nic to panu nie mówi? — powtarza rozciągając sylaby.

— Nie przeglądałem „Teki”...

— Ten artykuł to klucz. Do czego? Do Puław! Do zrozumienia Puław. Błoński pisze bezadresowo, teoretycznie, jakby muzom a sobie, ale przecież to o nas chodzi. Oni chcą nas leczyć. Leczyć z rzekomego „płaskiego myślenia”. Bo my jesteśmy drobnomieszczanie! Konserwa... Zakalec... Maruderzy i malkontenci...

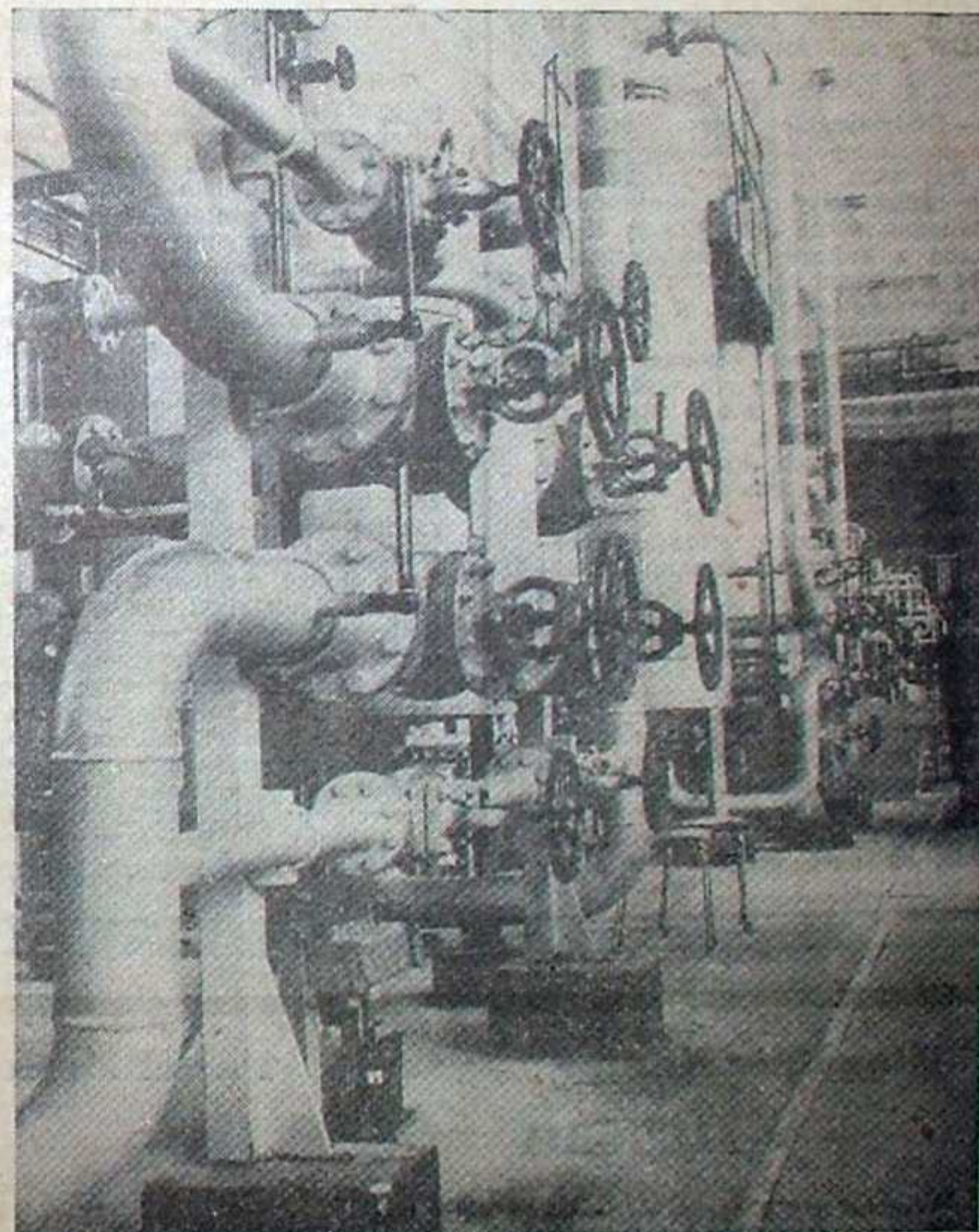
— A oni?

— Awangarda rewolucji nauko-technicznej! Mędrcy szkiełko i oko... Ci, którzy Puławy postawili do góry dnem. Czuje pan? Znowu zajechało „Azotami”! — nozdrza pana Aleksandra nerwowo się poruszyły.

„Postawili Puławy do góry dnem”... Nuta autentycznej goryczy zadźwięczała w panaaleksandrowskiej przenośni. Domyślałem się co ma na myśli: stawiając Puławy do góry dnem wyrzucili z nich to, co na tym dniu przez wieki się nawarstwiało, bez troski potraktowali puławską sławę i chwałę, zbarbaryzowali substancję miasta, tę materialną i tę niematerialną, całą jego dawność przytłoczyli nową substancją. Nową, ale jaką? Za oknami „Izabelli”, zza zieleni żywopłotów i konarów prześwitują jasne bryły mieszkaniowych wieżowców, kioskowa kwaciarka segreguje narecza gerberów, mignął czerwony miejski autobus, na hotelowym podjeździe maluchy rysują kredą cudaczne potworki, a przecież lat temu kilka, w tym samym miejscu, gdzie wzniesiono dziesięciopiętrowy hotel, sąsiadujący z nim gmach rady miejskiej i ciąg handlowych obiektów, widniało dzikie, zachwaszczone boisko dzikich drużyn piłkarskich... Przy stoliku pod ścianą kipi dyskusja o wzdolność jakichś maszyn, co chwila pada w niej tak bardzo niepuławskie „plecionie zaś” i pan Aleksander uporczywie twierdzi, że do zoli wtargnął oddech „Azotów”... Oto kilka

niewielkiego stateczku na Wiśle, w którym kwaterował sztab rozpoczętej budowy i do wizji potężnych zakładów, wylaniających się ze stert technicznych planów oraz wyobraźni entuzjastów, spieszących się z wyposażeniem Polski w Wielką Chemię.

Puławy i wtedy były zielone, nawet jeszcze zieleniejsze. Zieleni przykrywała wstydlivą miernotę, jak obfity makijaż przykrywa zmarszcz-



„Azoty”

Fot. J. Huzar

ki na twarzy zwiędniętej primadonny. Za tę zieleni kryły się uliczki z wylamanym brukiem, skromne domki szeregowych puławian i nieliczne, o nienajświeższym tynku, wille lokalnych patrycjuszów. Trzyście tysięcy tubylców trawiło dni ospałego żywota, okraszane od czasu do czasu niewybredną plotką, personalnymi przestawieniami w sędziwym instytucie rolniczym lub fabryczce żelatyny, rozróżą „Pod Parasolem”, albo występem zespołu „Estrada”. Gdy jesień odzierała liście z drzew i krzewów, obnażała

Do takich puławian, do takich Puław przyszedł chłop Grzywacz i wbił w ziemię pierwszy palik pod gigant chemii.

— W panteonie kultury nawozy będą robić! — jęknął wyznawca świętej Izabeli.

— Na nawozie nowe panteony sta. a! — odpowiedzieli Grzywacz.

Dokończenie na str. 6

Kamena str. 5

Za puławskimi rogatkami w dzień i w nocy huczała robota, wyprzedzano harmonogramy, ścigano się z kalendarzem, rosły „Azoty”. Do miasta, jedna za drugą, wpływały fale nowych ludzi. Grupami zjeżdżali wszelkiej specjalności fachowcy z Kędzierzyna, Tarnowa, Gliwic, Oświęcimia, falangami zwalali się ci z pobliskich wiosek. Zakotłowało się w miasteczku, spotkały się rozmaite osobowości i obyczajowości, rozmaite skale wymagań, kryteria ocen, kierunki potrzeb. Przede wszystkim zaś wtargnęła młodość, energia, zdobywczosć. Starym puławianom wydawała się brutalna i bezpardonowa, wążąca się nazywać ich miasto grajdołem, a w orom chemicznym przyznawać większe znaczenie i przydatność niż „Mysłom różnym o sposobie zakładania ogrodów”, które w 1808 roku wyszły spod pióra pani Izabeli. Oczywiście się stało, że tworzy się absolutne novum i tubylcy stracili rozeznanie. Ich wyobraźnia nie mogła dostrzec oblicza tego, co ku nim idzie, szło więc nieznane. To trwożyło, jak każde nieznanne. Pamiętacie lądowanie pierwszego człowieka na Srebrnym Globie? Nim z ostatniego szczebla drabinki dotknął stopą Księżyca, noga mu lekko drgnęła... Jakiś opór rozbudził się w puławianach, jakiś rozdzielenie jaźni. Owszem, wiedzieli, że „Azoty” to awans miasta, że skończy się stagnacja, rozumieli, że z kontemplowania przeszłości nie może być kołaczy, że Puławom dopisało szczęście, bo po „Azoty” wiele miast wyciągało ręce, a mimo to potrosze stawali okoniem. Spierali się o drobiazgi, hałasowali to o ulicę Głęboką, to o wazrywne działki, to o nazwy nowych osiedli.

— Gdyby w Puławach, zamiast fabryki nawozów, powołano do życia uniwersytet... — wzdychali między sobą.

— A jeszcze lepiej, gdyby tu SGGW przeniesiono...

— Statystycznie rzecz biorąc — nie oponuje pan Aleksander — jest w Puławach mrowie inteligencji. Ale liczbę wszystkich nie mówią. Inteligent wiąże cywilizację techniczną z kulturą humanistyczną a oni wpatrzni są tylko w technikę. W kolorowe telewizory, w samochody, w dywany i włoską glazurę w kłozetach. Nie mogą się nasycić gratami, bo wciąż im się wydaje, że kanapa z importu a nie książka na regale jest duszą mieszkania. Technokraci... A tych, którzy chcieliby wskrzesić w Puławach blask kulturalnego ośrodka i wołają: „nie wolno fiatami jeździć po różach!” uważają za drobnomieszczan, pociesznych zacofańców...

— Więc trzeba by mniej wołać, a więcej działać — zdobywam się na odwagę.

— Robi się. Jest Towarzystwo Przyjaciół Puław, są piękne inicjatywy. Była nawet sesja naukowa na puławskie tematy. Ale za mało tych akcji i znikome nimi zainteresowanie. Bo ich jest dużo, a nas mało, bo oni wciąż swoje a my

swoje. Taka wieża Babel myślenia i pojęć... A w tej wieży o ni góra...

— Czy nie sądzi pan, że z przyjęciem „Azotów” zmienił się charakter miasta oraz jego funkcje i że to jest proces nieodwracalny? Proces, który wchłania to, co pan nazywa „puławskim autentyzmem” i stworzy nowy kształt „puławskiego autentyzmu”?

Pan Aleksander bawi się kostką cukru, przewraca ją w palcach. Coś intensywnie rozważa. Wreszcie:

— Proces jest nieodwracalny. Tak. Ale ja, póki żyję, nie stanę się grabarzem starych Puław. One powinny istnieć w nowych Puławach!

— A czy ktoś temu zaprzecza?

— Broni Boże, nikt! I nikt tej idei nie wspiera. Dlatego pozostanę z krwi i kości puławianinem starego

dzono księżnej — dowodem choćby hotel, noszący jej imię, notabene w archaicznej pisowni.

Natomiast planistom zabrakło fantazji, może nawet umiejętności patrzenia w jutro przez saldo wskaźników. Obliczyli, że w 1970 roku miasto będzie liczyć 33 tys., a w 1980 roku 55 tys. mieszkańców. Tymczasem dzisiaj liczy już około 45 tys., a na rok 1980 przewiduje się 80 tys. Zbagatelizowano dynamikę procesów wnoszonych przez uprzemysłowienie i przeoczono prawdę, że nowoczesność polskiej gospodarki zasadzać się musi między innymi na opanowanie nowoczesnej chemii, a więc „Azoty” nie zatrzymają się w miejscu i będą rozbudowywane. Nowe osiedla zatrzęszczały w szwach, miasto zaczął rozsądzać

# PUŁAWY: szybciej niż czas

modelu. Zakalcowatym, twardogłowym...

W kawiarni zjawili się trzej cudzoziemcy. Mówią po angielsku. Zakłopotana kelnerka nie rozumie ani słowa. Pan Aleksander zerka w ich stronę.

— Przyjechali robić byznes — zauważa — pewnie będą kupować mocznik lub siętrę.

— Klientela „Azotów”?

— Oczywiście.

Trudno zrozumieć na czym ma polegać ów tradycyjny „puławski autentyzm”, o którym mówią „autentyczni puławianie”. Przecież to nie innego, jak swoista metafizyka, co najwyższej skostniały w bezpłodnej formie kult wspominek. Stare Puławy, w urbanistycznym sensie, przestały istnieć. Poknęły je Puławy dzisiejsze, a nieliczne resztki w niedostrzegalny sposób wtopiły się w nową zabudowę. Projektantom nowego miasta nie można odmówić kompozycyjnego talentu. Śmiało, z rozmachem posłużyli się przestrzenią. Rozrzucili zabudowę szeroko, zróżnicowali ją pod względem wysokości, trafnie wykorzystali topografię terenu. Przytrafiło się im kilka potknięć drobnego kalibru, ale całość się udała. Nieliczne, architektoniczne pamiątki po pani Izabeli potraktowali z należytym respektem. Odrestaurowano pałac, zrewaloryzowano „Marynkę”, rotundę „Świątyni Sybilli”, zadbano o park, w którym dumala o koronie i wysłuchiwała komplementów zawieszonych u jej kłami literatów, obięźswiatów i zawiedzionych polityków. Ani na jotę nie pokrzyw-

dopływ nowych ludzi z zewnątrz i przyrost naturalny. Napływowa warstwa demograficzna Puław od 1961 roku zaczęli tworzyć ludzie młodzi, po kilku latach rozpoczął się szturm na żłobki, przedszkola i szkoły. Trzeba było więcej szkół i więcej mieszkań.

— Obecny tłok rozładuje obliczone na 50 tys. osób Osiedle Kółkaję, które dwudziestopiętrowymi wieżowcami wyjdzie na sam brzeg Wisły — zapewniają w Urzędzie Miasta. — Rozwiniemy budownictwo socjalne, handlowe i usługowe, wzbogacimy infrastrukturę komunalną...

Pospiech w Puławach obowiązuje — w 1969 roku zakończono w „Azotach” budowę drugich z kolei zakładów, produkujących saletrę amonową, a teraz buduje się — i to szybko — trzeci zakład, mający produkować tworzywa organiczne: kaprolaktam i melaminę. Rozbudowa miasta musi dotrzymać kroku rozbudowie „Azotów”, bo miasto i zakłady składają się na wspólny gospodarczo-społeczny organizm i tę oczywistość w Puławach dobrze rozumiano. Zresztą, bardzo spektakularnie wypowiedziała się ona szeregami inwestycji, ofiarowanych miastu przez „Azoty”, efektywnych i bardzo potrzebnych — exemplum: piękny, dobrze wyposażony szpital. Interes miasta utożsamia się więc z interesem „Azotów” i odwrotnie, dokonało się ich scalenie.

Mimo to trzeba jeszcze poczekać na pełne wewnętrzne scalenie wielotysięcznej zbiorowości ludzkiej, która ten jednolity, acz dwuczłonowy organizm skonstruowała. Kilkanaście lat to okres zbyt krótki, by

doszło do zatarcia społecznych odmienności.

Według orientacyjnych szacunków, aktualna puławską zbiorowość reprezentuje — w liczbach zaokrąglonych — 8 tys. osób przybyłych z większych ośrodków przemysłowych, głównie śląskich, 25 tys. przybyszów z okolicznych wsi i 19 tys. „autentycznych puławian”. Wiodącą siłą społeczną jest grupa pierwsza. Ona tu dominuje w formowaniu szeroko pojętego obrazu miasta, przybliża jego obraz do parametrów miast, z których przybyła, domaga się nowoczesności Puław i wnosi w ich życie konkretne inicjatywy gospodarcze. Druga grupa ma niższe wymagania oraz mroeny portfel, najbardziej znaczący na miejscowym rynku, bo oparty o zasoby macierzystych zagród i bardzo żywe z nimi kontakty. „Autentyczni” zarobili na „Azotach” stosunkowo najwięcej, lecz wciąż utyskują, że los „zdegradował” ich do roli współgospodarzy miasta, którego byli gospodarzami. Zapominają przy tym, że to już nie to samo miasto.

Integracja zaczęła się stosunkowo wcześniej, w miarę przytywania się wyczerpania na środowiskowe odrębności i wzrastania młodego pokolenia, zawiązywania się nowych rodzin, odchodzenia od przyniesionych z domowych pieleszy zwyczajów, nawyków, uprzedzeń, zainteresowań. Trzy socjalne segmenty przenikają się wzajemnie, odnajdują coraz liczniejsze punkty styczności i kiedyś definitywnie się zrosną. Znamy Puław powiadają, że dopiero po roku 2000. Czarnowidztwo? Nie. Prognozy wskazują, że na przełomie wieku XX i XXI Puławy dojdą do 120 tys. ludności. W większości będzie to przytyły spoza ich granic, a jak długo trwa ruch migracyjny, pełna integracja nie nastąpi. Wywód znawców wydaje się logiczny.

Nim doczekamy się ostatecznego gospodarczo-społeczny obrazu Puław, najprawdopodobniej będziemy mieli gotową „drugą Polskę”. A któraż to Puławy będziemy mieli w „drugiej Polsce”? Przed takim pytaniem ekonomista, socjolog i statystyk bezradnie rozkładają ręce. Nie wydziwiająmy: dla uzyskania odpowiedzi należałoby podzielić puławskie wskaźniki osiągnięte jutro przez wskaźniki z roku 1960. Konia z rzedem temu, kto podzielił parametry jutrzejszych „Azotów” przez parametry „Świątyni Sybilli” w ogrodzie staropuławskiej świętej Izabeli...

Pan Aleksander wyrzucił z siebie wszystko, co mu leżało na wątrobie i zmienił temat. Zwiera się ze swoich rodzinnych spraw.

— Wesele mi się szykuje. Tato trzymaj się za kabzę... Córka skończyła studia i za mąż się wydaje...

— Po polonistyce? — wtrącam.

— Nie, po chemii.

— A za kogo się wydaje?

— Też za chemika. Przy moczniku pracuje, inżynier... Będzie sensowne stało...

— No, teraz to mi na fest „Azotami” zajechało!... — nie mogę się powstrzymać.

Pan Aleksander lekko odchylił głowę do tyłu i rozdał nozdrza.

— Amoniak! Może poprosić kelnerkę, żeby przymknęła okna?

Feliks Z. Weremiej

Klaudiusz Kantor

ALEGORIA

Wyobraź sobie ogród, gdzie wśród pełni lata  
Płowięją struny łodyg i kwitną motyle,  
Gdzie krzak ostu i róże, para nie dla świata,  
Spoczną zgasłą czerwienią we wspólnej mogile.

Zal ci będzie tej pary niepięknej, być może  
Kroplę smutku wysączysz nie w porę, a szkoda:  
Późna jałmużna żalu kwiatom nie pomoże.  
Przeciw śmierci z pragnienia jest lekarstwo — woda.

My, podobnie jak kwiaty, jak osty i róże,  
Nienasyceń, mrzemy niespokojnym bytem  
I tępy ból w nas wisi, choć słońce jest w górze,

I mamy chęć powtarzać za Villonem: Item...  
Gdy przestanie nas bawić spotkanie w purpurze,  
Bądźmy dla siebie wodą i zamglonym świtem.

Paweł Merlend

Za oknem  
rozciąga się sad moich marzeń

Niebieskie rosą w nim róże  
ciszą w trawie posiał mak

Zielone świerkają wróble,  
biały jest czyżyk i szpak

— Tęsknotą uprawiam mą ziemią

— mój sad

Jerzy Jedziniak

Widzę  
pojmuję  
milczę  
a krew stygnie na ustach  
i w chleb się zamienia  
codzienny

Może jeszcze frunę  
może piórem  
sięgnę  
w powietrza zagęszczone sfery

Ludzie mnie zrozumieją  
jako że byłem ptakiem

choć fruwać  
już nie potrafię

Zapomniała  
powraca wspomnieniem  
pod wieczorny próg  
jak zapach znajomy

kolysze gałązką czeremchy  
przekwita bzami

w pękach róż zakwita  
kwi czerwienią  
kaliną matulą tuli  
czerwonym makiem  
na Monte  
się wspina

pachnie konwalią  
jaśminem  
maciejką  
niezapominajką  
wędrowną stokrotką  
piosenka

# ZACZEŁO SIĘ OD „PSZCZÓŁKI”

— Jako spiker lubelskiej radiostacji, popularnie nazywanej „Pszczółką”, zapowiedział pan jej pierwszą audycję, to właśnie pan odczytał następnie tekst Manifestu PKWN. Jak do tego doszło? I skąd pan, wilmianin, znalazł się w Lublinie? — pytam wicedyrektora Muzeum Okręgowego w Lublinie, Tadeusza Chabrosa.

— Przede wszystkim małe sprostowanie: urodziłem się na Lubelszczyźnie, niedaleko Puław, tylko że wkrótce potem moi rodzice przenieśli się do Wilna. Tam już upłynęło moje dzieciństwo i lata szkolne, tam też stawałem pierwsze kroki w zawodzie dziennikarskim. Od 1940 r. aż do chwili zajęcia Wilna przez Niemców pracowałem jako reporter w dziale miejscowym „Prawdy Wileńskiej”, organu WKP(b) Litwy. Gazeta ukazywała się w języku polskim. W latach okupacji chwyciłem się różnych zajęć, pracowałem jako robotnik w fabryce mebli i na kolei.

W lipcu 1944 r. Wilno zostało wyzwolone przez wojska radzieckie. Związałem się z działalnością Związku Patriotów Polskich. Lokal wileńskiego oddziału ZPP mieścił się w narożnej kamienicy przy ul. Mickiewicza. Stale można tam było zastać Irenę i Jerzego Sztachelskich, Marię Dziewicką, Stanisława Fedeckiego. Towarzyszyła im spora grupa młodzieży, wśród której znajdowałem się i ja. Pewnego dnia, w końcu lipca, pojawił się w Wilnie Jerzy Putrament, który z właściwą mu energią zaczął organizować grupę osób mających się udać do Lublina, gdzie już od kilku dni urzędował PKWN. W Lublinie potrzebowano działaczy, dziennikarzy, naukowców.

2 sierpnia 1944 r. wraz z dziewiętnastoma innymi osobami wsiałem na lotnisku Porubanek do transportowego „Douglasa” i w chwilę potem wystartowaliśmy. Samolotem tym lecieli: Sergiusz Szylling-Siengalewicz, prof. Jan Dembowski (późniejszy marszałek Sejmu), Leon Kurowski, oboje Sztachelscy, Maria Dziewicka oraz spora grupa młodzieży: Jan Mietkowski — obecny wiceprezes „Polskiego Radia”, Mieczysław Subotowicz — dzisiaj profesor fizyki na UMCS, Tadeusz Mongird, Ziemowit Fedeki.

— Przybycie do pierwszej stolicy Polski Ludowej musiało być dla was wielkim przeżyciem?

— Oczywiście. A tym większym, że lot obfitował w sytuacje dramatyczne. W okolicach Puszczy Białowieskiej pilot otrzymał przez radio wiadomość, że zbliżają się niemieckie myśliwce. Nie pozostawało nic innego, jak pełną mocą silników wiać z powrotem na wschód. Dosłownie na resztkach benzyny dojeżdżaliśmy do lotniska w Sarnach i dopiero następnego dnia mogliśmy kontynuować podróż. Bez przeszkód lądowaliśmy w Dysie i stąd wojskowa ciężarówka przywiozła nas do Lublina, prosto przed budynek rządowej stołówki przy ulicy Spokojnej...

— To znaczy obecnie ulicy 22 Lipca. A dom, w którym mieszczą się ta stołówka, miał się w późniejszych latach stać siedzibą Lubelskiej Rozgłośni „Polskiego Radia”.

— I w którym, w pokoju na parterze miałem w przyszłości zająć miejsce redaktora naczelnego. Ale nie jestem jasnowidzem i jedyne przeczuć, jakie mnie wówczas tknęło, to miła myśl, że za chwilę dostaniemy obiad. Zajęła się nami serdecznie pani Wanda Górńska, szef kancelarii Krajowej Rady Narodowej, ona też znalazła dla nas, młodych, kwatery w nie istniejącym już dzisiaj budynku na tyłach gmachu Urzędu Wojewódzkiego. Był to pokój przejściowy, dalszą część mieszkania zajmował Bolesław Bierut. Następnego dnia, 4 sierpnia o godz. 11, wizyta w gabinecie Bieruta. Rozmowa dotyczyła działalności wileńskiego oddziału Związku Patriotów Polskich,

następnie naszego przygotowania zawodowego. Starsi otrzymali odpowiednie stanowiska w różnych resortach PKWN, my, grupa młodzieży, zostaliśmy skierowani do pracy w Resorcie Informacji i Propagandy, którego jedną z agend było tworzące się właśnie „Polskie Radio”. Kolejne losy sprawiły, że do tej pory wszyscy, z wyjątkiem Subotowicza, pracujemy w „branży” kulturalno-propagandowej. Moja pierwsza praca jako propagandydy to właśnie praca spikera radiowego. A spikerem zostałem dlatego, że w czasie prób mikrofonowych mój głos okazał się najbardziej „radiowy”.

— Skąd wzięła się nazwa „Pszczółka”?

— Nadajnik nie miał wielkiej mocy i w odbiornikach radiowych ciągle coś bzykało i brzęczało. Trzeba dodać, że często słowa spikera były zagłuszane odgłosami lecących niemieckich samolotów i kanonadą artylerii przeciwlotniczej. „Pszczółka”, zamontowana w dwóch osobowych wagonach, przyjechała z Moskwy jako dar rządu radzieckiego i została ustawiona na bocznicy kolejowego dworca lubelskiego, w pobliżu stanowisk artyleryjskich. Pamiętam dokładnie, że mikrofon stał na podnoszonym stoliku między oknami wagonu. Za stronę techniczną odpowiadał technik radziecki w stopniu sierżanta.

Zanim jednak na fali 224 m popłynęła w eter pierwsza audycja, musiała się ukonstytuować redakcja. Do naszej „wileńskiej” grupy dołączył partyzant Armii Ludowej, Zbigniew Lipiński — obecny korespondent Polskiego Radia i Telewizji w Paryżu, Adam Kostaszk i Stanisław Nadzin — dzienni-

brak doświadczenia, zarówno zawodowego jak i życiowego. W tamtych czasach miałem przecież dopiero dwadzieścia jeden lat.

Pierwszą audycję nadaliśmy 10 sierpnia 1944 r. Rozpoczęła się o godz. 18. Najpierw rozległ się z głośników hymn państwowy, potem moja zapowiedź, że oto na wyzwolonych ziemiach polskich rozpoczyna działalność Polskie Radio, wreszcie informacja jakże wiadomości i audycje będziemy nadawać. Następnie odczytałem treść Manifestu Lipcowego. Zadanie miałem nielätwe, bo — po pierwsze — ogarncło mnie ogromne wzruszenie, po drugie — tekst był trudny do czytania, gdyż nie miałem maszynopisu, tylko wielką plachtę afisza. Później poszły wiadomości bieżące, wiadomości z frontu, wreszcie muzyka z płyt. Uboga była wówczas nasza płytoteka, kompletowaliśmy ją różnymi sposobami, m.in. dawaliśmy ogłoszenia w miejscowej prasie i skupowaliśmy płyty od osób prywatnych. Ta pierwsza audycja trwała trzy godziny i przez kilka pierwszych tygodni ograniczaliśmy się tylko do audycji popołudniowych. Później program dzienny zwiększył się do sześciu godzin.

— To nastąpiło po zakończeniu pierwszego, „pionierskiego” okresu pracy „Pszczółki”?

— Tak. I w ogóle wiązało się z dynamicznym wzrostem życia kulturalnego w Lublinie. Przybywało coraz więcej dziennikarzy, literatów, artystów, aktorów, muzyków. Jak grzyby po deszczu wyrastały nowe redakcje. To samo w przypadku radia. Trzy tygodnie po pierwszej audycji przenieśliśmy się z wagonów kolejowych do lokalu na drugim piętrze kamienicy

— Przez studio przewinęło się w owym okresie szereg znanych osobistości z życia politycznego i kulturalnego. Nie było przecież aparatury rejestrującej, mówiono do mikrofonu wprost, „na żywo”, a mikrofon był tylko jeden. Które z owych przemówień najbardziej utkwiło w pańskiej pamięci?

— Trudno odpowiedzieć jednoznacznie. Miałem wtedy okazję poznać Bolesława Bieruta, Karola Świerczewskiego, Wandy Wasilewskiej i wielu innych działaczy. Ale jeden z najbardziej wzruszających momentów wiąże się dla mnie z pojawieniem się we wrześniu w studio Stefana Jaracza. W pierwszej chwili nie poznaliśmy wielkiego aktora. Był wycieńczony pobytym w Oświęcimiu, w ostatnich miesiącach gruźlica poczynała w jego organizmie ogromne spustoszenia. A jednak przemówił do mikrofonu i było to chyba ostatnie jego przemówienie do szerokiego audytorium: „Dziś w Lublinie, po raz pierwszy od pięciu lat, spotykam się z wami, przemawiam do was — moich dawnych, odzyskanych przyjaciół, moich słuchaczy, moich rodaków. Stoję przed wami chory, bardzo zmęczony, głos odmawia mi posłuszeństwa i dlatego mogę tylko w paru słowach podzielić się wami moimi marzeniami. [...] Człowiek poszukuje sztuki, sztuka przemawia do człowieka, sztuka powinna człowieka kształcić i doskonalić”.

Ale nie oddałbym w pełni atmosfery tamtej pracy, gdybym nie wspominał o momentach humorystycznych, kiedy spikerem zdarzały się fantastyczne nieraz lapsusy językowe. Taką wybitną gaffę strzeliła kiedyś Grodzieńska, oświadczając do mikrofonu: „W związku z ustawą o reformie rolnej chłopci uchwalili rewolucję”, zamiast, naturalnie — „rezolucję”.

— W marcu 1945 r. skończył się lubelski okres „Polskiego Radia”...

— Tak Stolica była wyzwolona, rozgłośnia i redakcje przeniosły się do Warszawy. Ja opuściłem Lublin jeszcze trochę wcześniej. Jako członek specjalnej grupy operacyjnej, utworzonej przez Resort Informacji i Propagandy, wyjeżdżałem do Krakowa i Łodzi, aby pomagać tam w organizowaniu rozgłośni radiowych. I właśnie z Łodzi przyjechałem już prosto na nowe miejsce pracy, do Warszawy. Rozgłośnia mieściła się wówczas na Pradze, przy ul. Targowej. Dotarłem tam późną nocą i położyłem się spać na jedynym wolnym w studio miejscu, to znaczy na fortepianie. Rano obudziły mnie odgłosy przypominające bombardowanie. To ówczesny dyrektor muzyczny „Polskiego Radia”, profesor Roman Jasiński, przegrywał utwory, mające iść w przedpołudniowym programie. W ten sposób rozpoczął się warszawski okres mojej pracy radiowej.

— Ale jednak po siedmiu latach wrócił pan do Lublina...

— Dokładnie 9 września 1952 r. Zapadła decyzja o uruchomieniu rozgłośni „Polskiego Radia” w Lublinie, a ja obejmowałem redakcję naczelną. Wyraźnie przypomniał mi się wówczas lubelski okres pionierski z 1944 r. Znowu trzeba było robić coś z niczego i znowu trzeba było mierzyć siły na zamiary. Ten mój drugi lubelski radiowy okres działalności zakończył się budową radiostacji w Bożym Darze oraz gmachu Rozgłośni Lubelskiej przy ul. Obrońców Pokoju. Tak to wygląda w skrócie. Obszerniejszy materiał wspomnieniowy o życiu kulturalnym w stołecznym Lublinie znajdują czytelnicy w mojej książce pt. „Kronika wydarzeń w Lublinie”, która ukaże się w bieżącym roku nakładem Wydawnictwa Lubelskiego.

Rozmawiał  
Mirosław Derecki

Kamena str. 7



Pierwsi spikerzy „Polskiego Radia”. Od lewej: Tadeusz Chabros, Stefania Grodzieńska, Aleksandra Nowodworska i Zbigniew Nabzyk.

Fot. I. Sikirycki

karze z prasy wojskowej oraz pani Wolska, maszynistka, wówczas jedyna lublinianka w zespole.

— W zbiorze wspomnień wydanych przez Wydawnictwo Lubelskie i zatytułowanym „W stołecznym Lublinie” pisze pan m.in.: „Prosty, węglowy mikrofon był bardzo czuły. Potrafił wchłonąć w siebie i przekazać w daleki świat wszystko, co się do niego mówiło, co się do niego szeptało ze wzruszeniem, a czasem nawet krzyczało z radością. A było o czym mówić — odradzające się Polskie Radio mówiło o odradzającej się ojczyźnie”.

— Proszę sobie wyobrazić jak w tej atmosferze trudna była praca spikera. Nieraz musiał dokonać ogromnego wysiłku, żeby panować nad głosem, żeby zachować zimną krew. No i nadrobić

przy ul. Szopena 9. To znaczy przeniesiono tam studio radiowe i nadajnik. Natomiast redakcje mieściły się przy Krakowskim Przedmieściu 62. Nazywano je wówczas działami. Był więc Dział Ziemi Wyzwolonych, Dział Informacji Politycznych, Dział Wojskowy i Dział Artystyczny. Zapamiętałem numer telefoniczny naszego studio: 37-33.

Rozszerzenie codziennego programu radiowego do sześciu godzin (trzy przed południem i trzy po południu) wiązało się z koniecznością powiększenia liczby spikerów. Wkrótce było nas już pięcioro: z Warszawy przyjechała do Lublina Stefania Grodzieńska, z Armii Ludowej trafiła do studio Aleksandra Nowodworska, w ogłoszonym konkursie na spikerów zwyciężył Zbigniew Nabzyk, z partyzantki przybył Igor Sikirycki, jedyny zreszta rodowity lublinianin, syn znanej bibliotekarki.

**T**UZ za bramą stoi słoń: betonowy, dwumetrowy, szary. Dlaczego w państwowym gospodarstwie rolnym w Łęcznej koło Lublina stoi słoń pomnikowy, jeśli hodują tu wyłącznie bydło, jabłka i chmiel? Do charakteru miejscowości bardziej pasowałoby monumentalne jabłko z plexiglasu, albo odpowiedniej wielkości model belgijskiego kombajnu do chmielu, który niedawno przeszedł na zasłużoną emeryturę. Tymczasem słoń betonowy stoi pewnie: nie nie oznacza, do niczego nie mobilizuje, niczego nie upamiętnia...

— Słoń szczęście przynosi — przypomina kierownik zakładu, Dionizy Brodzisz, odwołując się do publicznych wyobrażeń o tym sporym zwierzęciu, wymodelowanym w betonie przez Brodzisza juniora, prowadzącego w gospodarstwie brygadę remontowo-budowlaną.

1 lipca 1946 roku utworzono na Lubelszczyźnie Państwowe Nieruchomości Ziemskie, obejmujące ziemie poobszarnicze i odłogi. Dokładnie trzy lata później powstał Wojewódzki Zarząd PGR, skupiający 52 przedsiębiorstwa rolne, zakłady przemysłu rolnego i przetwórczości owocowo-warzywną. Wtedy chyba najbardziej przydałby się jakiś słoń, życzyliwie sterujący losami pszenicznego świata. No bo...



Dionizy Brodzisz

Trzy czwarte gospodarstw uruchomiono na odłogach, lub terenach zniszczonych wojną i walkami z bandami UPA. Zabudowania inwentarskie były zrujnowane lub doszczętnie spalone. Brakowało maszyn i fachowców, którzy potrafiliby doprowadzić do sprawności pozostałe i unikalne egzemplarze. Brakowało ludzi do pracy.

Dionizy Brodzisz wrócił z niewoli niemieckiej w 1942 roku, trafiając do majątku ziemskiego w Potoczku w powiecie Janowskim. Miał średnie wykształcenie ogrodnicze, był przydatny. Naokoło działała partyzantka, z biegiem czasu tak ostro, że już w kwietniu 1944 roku dziedzic w popłochu porzucił majątek i uciekł w kierunku zachodnim. Dokładnie 22 lipca tegoż roku w Potoczku pojawiły się pododdziały armii radzieckiej. Dowódca zwołał zebranie fernali i po kilku wstępnych wyjaśnieniach zapytał, kto winien zostać „uprawiajszczym”, czyli

Pełna nazwa tego gospodarstwa rozciąga się jak nazwisko hiszpańskiego arystokraty: Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Ogrodnicze PGR Niemce z siedzibą w Lublinie — Zakład Ogrodniczy nr 5 Łęczna. Jest to majątek obszarowo niewielki, liczący 180 ha użytków rolnych, z czego 80 ha przypada na łąki. Na 44 hektarach rosną sady jabłkowe. Niektóre z nich, posadzone zaledwie pięć lat temu, dają z hektara 23 tony owoców, a więc więcej niż zbiera się w wyspecjalizowanych gospodarstwach z długoletnią tradycją. Powierzchnia chmielników zwiększyła się wkrótce z 8,5 ha do 20 ha.

Zakład w Łęcznej hoduje ponadto 450 sztuk bydła, a mleczność krów jest znacznie większa niż w innych gospodarstwach. Jedna krasula daje rocznie ponad 4000 litrów mleka, podczas gdy tzw. średnia lubelskich pegeerów zbliża się do 3000 litrów. Niedawno wzniesiono wiatę do sezonowego tuczu 500

# Słoń szczęście przynosi

Ireneusz J. Kamiński

zarządzającym w imieniu ludu pracującego. Jednocześnie wybrano Brodzisza. „Charaszo” — powiedzieli Rosjanie i polecili nowej władzy uruchomienie młocarni, albowiem zboże w mendlach stało na polu.

Trudna to była sprawa, ponieważ nieruchomości majątku rozeszły się tymczasem po ludziach i miasteczkach, ostały się jeno pasy transmisyjne w górzeli. Wystarczyły, aby machina zahuczała, a zboże ziarnem sypnęło. Pod opieką żołnierzy radzieckich Brodzisz zabrał się ostro do roboty i wszystko wskazywało, że ludzie wyjdą na swoje, a państwo wdzięczność okaże. Ale w styczniu następnego roku wojsko ruszyło na zachód, co zaktywizowało „leśnych”. A to konia, którego przysłano do Potoczka ze stemplem UNRRA na zadzie, zarekwirowano, a to jałówkę w jasyr wzięto... W końcu Brodzisz przestał sypiać w domu, w obawie przed bandyckim strażnikiem. Przetrzymał złe czasy: były, minęły...

Potoczek opuścił w 1947 roku, aby zorganizować zespół PGR w Wólce Gościeradowskiej. Potem robił to samo w Czesławicach i Woli Okrzejskiej, pracował w Niemcach. Do Łęcznej trafił w 1961 roku.

sztuk trzody chlewnej. Uprawia się trochę kukurydzy, trochę lucerny, trochę żyta — na paszę dla zwierząt.

Mamy więc do czynienia z wyspecjalizowanym zakładem produkcyjnym, nastawionym na sadownictwo, chmielarstwo i hodowlę zwierząt, którego roczny zysk zbliża się do 2 mln zł.

W 1961 roku, w momencie pojawienia się w Łęcznej Dionizego Brodzisza, gospodarstwo było deficytowe, roczne straty wahały się w granicach od 300 do 500 tysięcy zł. Sto sztuk bydła chorowało na gruźlicę; poza tym stadem „hodowano” jeszcze kury. W 16-hektarowym sadzie podworskim można było dołżeć się 50 odmian 10 gatunków drzew owocowych — w wieku od pięciu do sześćdziesięciu lat”. Uprawiano żyto, owies, nieco pszenicy. Dwa nowe budynki, wzniesione rok czy dwa lata wcześniej, tonęły w otoczeniu podworskich ruder, krytych gontem lub papą, nikły wśród dziesiątków walących się chlewików, podpieranych kijami. W tych ruderażach mieszkali pracownicy — byli fernali. Po trzy, cztery, po sześć i osiem osób w jednym pokoju z kuchnią, albo bez kuchni. Ustępy nie mieszczyły się ani w rzeczywistości, ani w planach, ani w najmielszej wyobraźni. Ale stodoła nie było, chadzano więc za komórki, chlewiki, kucano w polach używając wyjalowioną glebę. Śmieci wyrzucano wszędzie. Ludzie, krowy, kozy, gęsi, kury — to wszystko żyło jednak w całkiem harmonijnej symbiozie, w środowisku ciepłego i przytulnego, jakby samowystarczalne. Jakby na pośmiewisko idealnej ekonomii, która powołała do istnienia państwowe gospodarstwo rolne.

**P**astwisko jest nad samym Bugiem, słupy graniczne na łące parę metrów od rzeki, za rzeką już strona radziecka. Bug, który tej wiosny wskutek nagłych i obfitych opadów gwałtownie podebrał i zmienił koryto, obok swych malowniczych i rekreacyjnych walorów jest też pewnym utrapieniem dla użytkowników łąki. Rzeka potrafi podmyć i zabrać parę metrów gruntu. Drugie utrapienie to krety. Ryjąc podziemne tunele, wyrzucają na wierzch kopce góły ziemi, niszczą trawę. Tych kopców sporo na pastwisku.

Katarzyna Weremczuk powiada, że na krety jedyny sposób to wrzucić do każdego kopca głowę od śledzia. Ale znowu Józef Marczyk, przewodniczący zespołu, bardziej wierzy w kretolapki. „Żeby tylko nasz przemysł produkował” — wzdycha. Nie jest łatwo i od początku nie było łatwo. Te 13 hektarów łąki otrzymali z Państwowego Funduszu Ziemi. W jednym kawalku. Zaczęli od wypalenia chwastów i splantowania kretowisk. Każde wynawożenie pastwiska kosztuje — jak twierdzą — 10 000 złotych. A jeszcze ogrodzenie, żeby owce, pół roku nie opuszczające pastwiska, nie uciekły. Setki palików drewnianych, tysiące metrów drutu. I wreszcie drewniane szopy, przestronne i mające dobrą cyrkulację powietrza, chroniące zwierzęta na noc i przed deszczem („Owca parę razy zmoknie i wełna do niczego”). A w tych szopach liszki, podwieszane bryły soli i mineralów, też potrzebne zwierzętom. Wszystko kosztowało.

„Owca to bardzo delikatne stworzenie powiadają. — Trzeba doglądać troskliwie, a to odrobaczenie, a to wykoty, ciągle człowiek musi zważać, pilnować. No i druga sprawa, że trawy w tym roku mało i słaba, od stycznia deszczu nie było, dopiero teraz, ale za późno.” Zwykle gospodarskie kłopoty. Niby mechanizacja, nawożenie, a natura ma swoje bezwzględne konieczności i ulomności. Oczywiście też

tej mechanizacji i nawożenia byłoby jeszcze gorzej, o czym członkowie zespołu doskonale wiedzą.

Są też, a raczej początkowo były, kłopoty z ludźmi. „Zawieść po wsi poszła, bo na tym dzikim pastwisku wszyscy sobie krówki paśli. Myślimy ogrodzić i skończyło się. Wtedy zaczęli skargi pisać, że bogaci się zjednoczyli i lipę robią, bo traktor można w pierwszej kolejce otrzymać, pożyczkę po części umorzona. Teraz się przekonali, że lipy nie ma, tylko produkcja rolnicza. Ale jak zaczęliśmy tu w Dolhobrodach, w 1972 roku, to był wtedy pierwszy zespół rolników zarejestrowany w powiecie włodawskim”.

Ten zespół powstał z autentycznej chęci i potrzeby powiększenia hodowli owiec. Cała trójka — Katarzyna Weremczuk, Józef Marczyk i Franciszek Marczyk — są to rolnicy w pełni sił, około czterdziestki, ale owce hodują już od 10 lat. Katarzyna wraz z mężem ma blisko 4 hektary, w tym 2,5 hektara łąki. Obaj Marczykowie mają po 17 hektarów, w tym po 8 hektarów łąki, tyle że w kilkunastu kawalkach. Dopiero zespołowe pastwisko pozwoliło rozwinąć produkcję. Zaczynali od 150 owiec, teraz mają 300.

„Moglibyśmy hodować i tysiąc sztuk, ale łąki za mało. Prywatnie nikt nie chce sprzedać, drożą się. Są ludzie, którzy mają tutaj łąki, a sami mieszkają po 10 kilometrów stąd, w gminie Sosnówka. Tam można by im nadać pastwiska z Funduszu Ziemi, a tutejsze państwo by przejęło i wydzierżawiło naszemu zespołowi. Komasa w Dolhobrodach też wiele by pomogła, ale jakoś na razie jej nie widać...”

Przyznano im pożyczkę w wysokości 342 000 złotych, choć Józef Marczyk ostrożnie powiada, iż wykorzystali tylko część. Weszliśmy roku zakupili traktor do zespołu, nowy, za 92 000 złotych, resztę maszyn każdy ma indywidualnie, każ-

dy też indywidualnie hoduje po 40 owieczek. Zasadnicza wspólnota to właśnie owo zagospodarowane 13-hektarowe pastwisko, na którym trzymają zespołowe owce, aczkolwiek każdy wie, które są jego, bo zwierzęta mają specjalne tatuaże na uszach. Każdy też osobno rozlicza się ze swoich sztuk, gdy przychodzi pora strzyżenia i odstawy wełny. Ale gdyby nie wspólne poczynania, nie byłoby mowy o takim powiększeniu hodowli. Jasno tu widać, jak się chłopska, czasem ase-

nie wyleź. Cała ziemia, którą niby mamy indywidualnie, pracuje pod kątem owiec. Jakość się potem rozliczamy. Na razie jeszcze ta hodowla jedzie bez zysku, jeśli liczyć wszystkie początkowe inwestycje. Będzie lepiej, bo to dopiero początek — tak opowiada o swoim przedsięwzięciu, z wyjątkiem, konkretnie, choć nieco może za ostrożnie. Czy będą nadal gospodarzyć zespołowo? „Jak najbardziej, jak najbardziej, bo to się oplaca.”

Oglądam obejścia domowe członków zespołu. W każdej chałupie telewizor, lodówka, lodówka, radio. Meble w reprezentacyjnym pokoju już nie wiejskie zy-

## LOS KSZTAŁTOWAĆ

kurancka, ostrożność i chłopska rodzinność przelamuje w umiejętności gospodarzkiego ryzyka i w swego rodzaju najprostszą spółdzielczość pracy na roli. Może właśnie od tego przed laty powinniśmy rozpocząć?

„Bierze się rocznie za owce zespołowe około dwustu tysięcy złotych, to znaczy za wełnę. Materiał hodowlany dobraćaliśmy nie najgorszy, zwierzęta są dobrze utrzymane, sam pan widział. Różne władze nas tu odwiedzały i chwaliły, pan nie pierwszy z gazety. Harować trzeba po kilkanaście godzin na dobę, każdy potem przed własnym telewizorem zaspia, nawet jak Polacy w piłkę kopią. Ale gdyby się zaharować na śmierć pojedynczo, to żadne z nas nie wyhodowałoby tylu sztuk. Nie na każdego przypada w zespole, dzięki wspólnemu wysiłkowi. Porobiliśmy sobie tygodniowe dyżury na pastwisku, i to jest duże ułatwienie, ale doglądać trzeba, bo owca potrafi za ogrodze-

dle i łącznice, ale wersalki, tapczany. Blyaska „wysoka” polityra miejskich stolów i krzesel, kredensów. U Józefa Marczyka za szkłem kredensu pokaźny zbiór reklamówek monopolowych, tylko na ścianach trochę razi nawalnicą religijną i świeckiego „deku”, to już prezent miejskich cwaników. Na podwórku zaś stoi porzecziwa „Dodżka”, pamiętająca jeszcze czasy demobilu, którą Marczyk ze złomu zakupił, wstawił silnik od traktora i przetrwał na półciężarówkę. Jeździ nią do powiatu po nawozy i po inne zakupy, ciężką odstawia. Popijamy piwko, którego całą skrzynkę gospodarz przywiózł z Włodawy i wtedy słyszy: „Mój syn obecnie na studia się wybiera w Lublinie, na Akademię Rolniczą, i ma zamiar wrócić na ro-





Julian Przyboś

## PÓKI MY ŻYJEMY

Huk armat na wysokość lun  
wzrost,  
niebo wali się z trzaskiem.  
Bezbranny, wbity pociskami w grunt  
błagam o karabin, jak skazaniec o łaskę,  
i tylko krzyczę — niecelnie,  
z rannych i z martwych wstawszy.  
Mój wzrok po torach bomb strącony w gruz  
przypada do Warszawy.

Aż w rozpekły na dwoje słuch  
placz mężczyzn wpadł — i ich, jak nabój, milczenie.

W tej chwili zginął mój brat.

Zegnam was, unoszący za granicę głowy,  
uciekający do broni,  
gdy tu, w rozwalonym schronie,  
z jeszcze żywych ostatniego tchu  
odtworzyłbym nasz hymn narodowy.

Wrzesień 1939

Adam Ważyk

## SERCE GRANATU

W roku trzydziestym dziewiątym, niegdyś,  
odłamek muru skroń ci znieczulił,  
ktoś cię pochował tam, gdzie poległeś,  
w sercu śródmieścia, w załomie ulic.

Wiosną kielkuje spod rumowiska  
twojego domu zabłąkana trawa;  
grób bez ojczyzny, proch bez nazwiska  
i mury stoją rzewne — Warszawa.

Przyjdę do ciebie pod załom ulic —  
drogą najkrótszą, marszem z daleka,  
tam gdzie pod kamień grób twój się wtulił,  
przyjdę, wstydlivy prochu człowieka.

Na to, byś w mieście żyjącem leżał  
i w ziemi swojej wiadomy światu —  
i na to właśnie trzykroć uderza  
w rzucie na Zachód serce granatu.

Maj 1943

Mieczysław Jastrun

## GODZINA STRZEŻONA

Cicha noc, gdy godzina nosi twardy stempel  
Policyjny. Jeżeliby zstąpił na ziemię  
Cień gwiazdy, żołdak wbiłby weń spojrzenie tępe,  
a za spojrzeniem kulę. Patrz: okuty hełmem

Znieruchomiał przed bramą strażnik mechaniczny.  
Błękitnieje przyćmiona lampa. Deutsche Wehrmacht.  
Torem na tor nasuwa się żelazo, błyszczą  
Nasępienego mostu dziób, kracze! — znów żer ma!

Płyną, jak gdyby pruły jedwabne bandaże,  
Sanitarne wagony, ostrożnie, nie trzęsą...  
Kiedy w innych wagonach zdrowe ludzkie mięso  
Opancerzono i ostemplowano na rzeź.

Jest regulamin mordu, stalowa metoda —  
Biało! Gdzie jestem? Ucho czuwa, oko nie śni.  
Patrzę w śmierć. Wiem, ta szyba, jak przejrzysta woda,  
Dzieli mnie od niej. Może nie dokończę pieśni.

# PIERWSZE DNI

Dokończenie ze str. 1

sierzą spontaniczności i ochoty. Bardzo zresztą potrzebnej. Niejedną maszynę należało remontować poza godzinami pracy, niejedną godzinę pracy zostawić poza wynagrodzeniem, kiedy jeszcze aparat administracyjny, a zresztą i możliwości gospodarcze nie znalazły się na wysokości szybko rosnących potrzeb. Ale wciąż trwał ten pierwszy dzień: 22 lipca. Z jego entuzjazmem, z jego zachłystnięciem się wolnością, z jego psychicznym porwytem do nowych zadań i nowych marzeń.

Nastąpiła reforma rolna i upaństwowienie przemysłu. Kraj zaczął otrzymywać nowe oblicze ekonomiczne. Było to historyczną koniecznością i historyczną racją socjalistycznego ustroju. Nie stać go było na luksus długich przygotowań, społeczny awans upośledzonych przedtem klas domagał się urzeczywistnienia w istniejących realiach. Stało się do tej pracy wielu ofiarnych działaczy i członków partii.

Wyzwolony skrawek polskiej ziemi stał się terenem ożywionego ruchu artystycznego. Bardzo wczesnie zaczął wychodzić dziennik „Rzeczpospolita”, wkrótce na rynku czytelnictwa ukazał się tygodnik „Odrodzenie”. Rozgłośnia Polskiego Radia nasycała eter wiadomościami z frontu i z areny wydarzeń międzynarodowych. Pojawiało się wielu pisarzy, którzy lata okupacji zmuszeni byli przebywać w ukryciu przed okiem okupanta, którzy przybyli tu z falą wyzwoleniczej ofensywy niesioną przez armię radziecką i 1 Dywizję Kościuszkowską. Lublin stał się żywym centrum życia literackiego już wówczas, kiedy jeszcze utrzymywał się front nad niedaleką Wisłą.

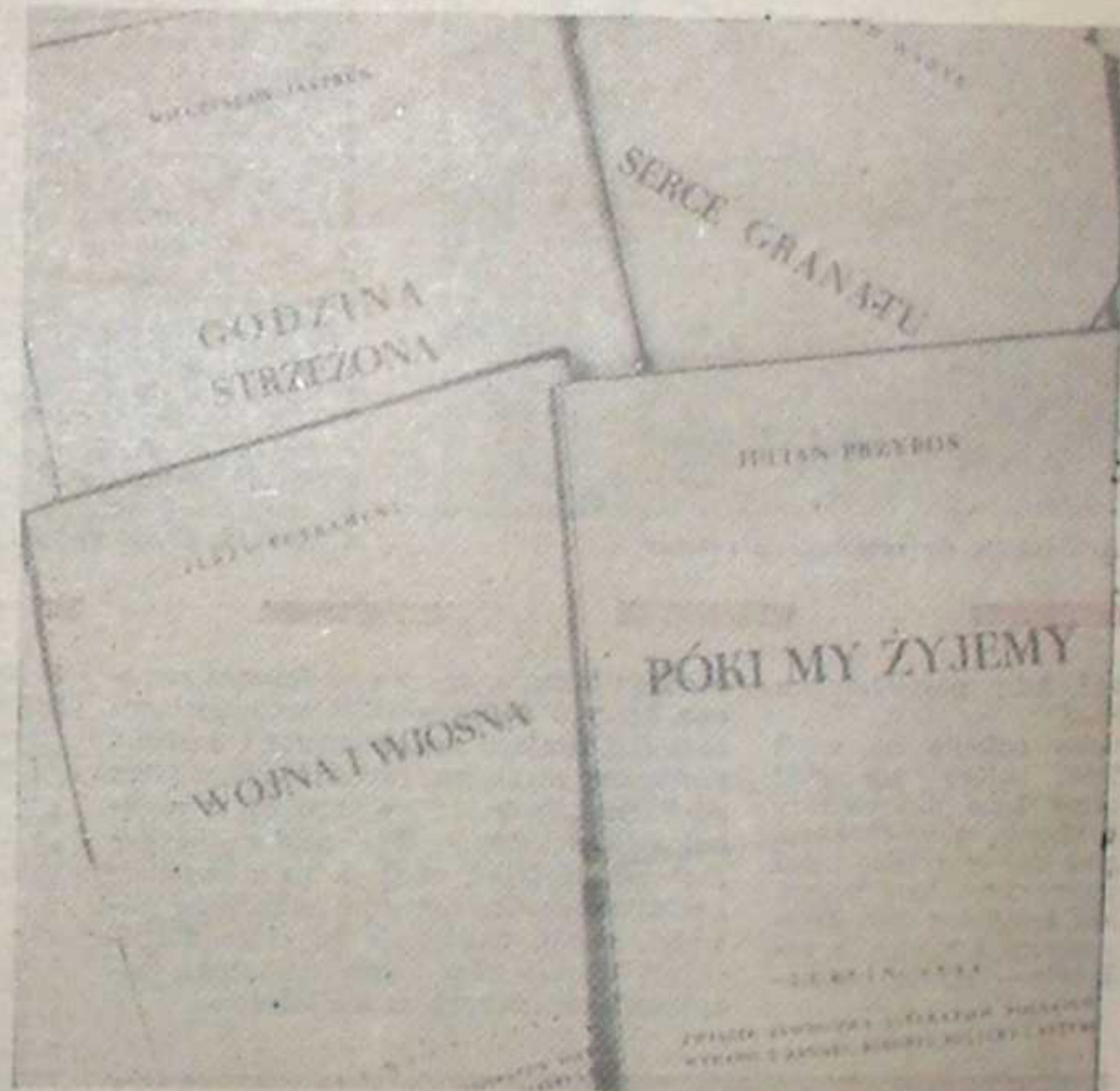
Nie dziwnego, Słowo polskie cze-

kało pięć lat na możliwość swobodnego krążenia wśród polskich czytelników. Potrzeba wymiany myśli w środowiskach artystycznych wychodziła na pierwszy plan potrzeb odczuwanych przez te społeczne ugrupowania. Dyskutowano, mówiono, podejmowano nowe inicjatywy. Stało się to możliwe również dzięki temu, że z racji wydarzeń historycznych w jednym miejscu znalazło się tak wielu twórców o ukształtowanych poglądach artystycznych. Ale nie tylko oni formowali front działalności artystycznej w stołecznym Lublinie. Było wielu utalentowanych młodych, których działalność pisarska ma jednakową metrykę z odrodzeniem życia literackiego w ludowej Ojczyźnie.

Na pierwszą linię walki o nową treść polskiego słowa, o nowy rodzaj wrażliwości poszła poezja. Jej czulemu i gwałtownemu rytmowi dane było przejąć nastroje wynikłe z koszmarnych wspomnień okupacyjnych, z olśnienia błyskiem wolności, z drgnienia myśli wybiegających w perspektywę nowego życia. Spełniła też poezja swoje zadanie co najmniej tak, jak powstający ze zniszczenia transport. Był to bowiem transport nowych wartości psychicznych po raz pierwszy tak powszechnie kolportowanych w polskiej świadomości zbiorowej.

Nie bez wymowy też pozostaje fakt, że pierwszą książką wydaną w wyzwolonej Ojczyźnie był właśnie zbiór wierszy. Julian Przyboś swój tom „Póki my żyjemy” pisał podczas działalności konspiracyjnej. Zresztą nie tylko on. W armii, w podziemiu, w partyzantce znajdowała się cała polska poezja. Nie sprawdziło się łacińskie „inter arma silent musae”. Muzy przemówiły głosem donośnym, jak rozkaz bojowy.

Zygmunt Mikulski



# Słoń szczęście przynosi

Dokończenie ze str. 9

rolnych. Bez nowoczesnych i zróżnicowanych funkcjonalnie maszyn specjalizacja zapadnie na anemie, której nie złagodzi aktywa, jakie niesie z sobą ludzka chęć do rzetelnej roboty i godziwego zarobku. Rezerwy tkwiące w systemie zarządzania i organizacji produkcji mają swoje granice. Prawdy te znają dziś wszyscy, którzy uczestniczą w unowocześnianiu naszego rolnictwa. I wyciągają z nich wnioski: w trakcie modernizacji i rozbudowy znajduje się przemysł maszyn i urządzeń rolniczych, znacznie zwiększono import i zakupy odpowiednich licencji. Powstają przedsiębiorstwa produkujące gotowe obiekty gospodarcze... Poważnie wzrosły nakłady inwestycyjne na budownictwo i wyposażenie

techniczne państwowych gospodarstw rolnych, które wchodzi w końcowy etap „wielkiego przyspieszenia” ekonomiczno-organizacyjnego. Biorąc pod uwagę całokształt działalności, można śmiało powiedzieć, że PGR-y niosą na sobie ten dział gospodarki narodowej.

Taki wniosek uzasadnia np. polityka otwartych drzwi, zainicjowana m.in. przez zjednoczenie lubelskie. Polega ona na bliższej współpracy z sektorem indywidualnym. Państwowe gospodarstwa rolne zaczynają służyć rolnikom instruktorem fachowym, opieką sanitarną i sprzętem do wyspecjalizowanej produkcji, ci zaś — zgodnie z usową — dostarczają PGR-om materiał do ferm hodowlanych, warzywa itp. Jest to interes obustronnie opłacalny i umożliwiający profilowanie gospodarstw indywidualnych zgodnie z potrzebami zbiorowej konsumpcji i wymogami ekonomii. W minionym roku przedsiębiorstwa państwowe zawarły umowy z rolnikami na dostawę 4500 sztuk byczków i 3500

warchlaków. Do świadczonych przez siebie usług PGR-y właściwie dopłacają, czyniąc to jednak świadomie w przekonaniu, że w ogólnym bilansie gospodarczym i społecznym rzecz jest warta zachodu, racjonalizuje i zwiększy produkcję wsi polskiej, poprawi kulturę gleb oraz sytuację życiową rolników samotnych lub starszych. Niestęchanie ważnym elementem tej polityki jest również otwarcie pegeerowskich źłobków, przedszkoli i domów kultury dla całej społeczności wiejskiej.

Fundamenty tego systemu położyli tacy ludzie jak Dionizy Brodzisz, posiadacz „Sztandaru Pracy” II klasy. A także kawaler orderu Międzynarodowej Federacji Chmielarskiej, wywodzącej się ze stowarzyszenia, które w 1871 roku założył w Dijon król Ján Bez Trwogi. Zonaty jest przecież dawny „uprawiajszczy”, ma czworo dzieci i zdolność trzeźwego widzenia rzeczywistości. To ostatnie dokumentuje historia zakładu w Łęcznej.

Ireneusz J. Kamiński

Kamena str. 10



Potem zrobiło się już bardzo późno. Szkoda, że w tym zapamiętałym, wewnętrznym gniewie nie przewidziałem tego, że będę jednak musiał wrócić na tamten brzeg. Towarzystwo zbierało się do swoich namiotów. Nieco dalej od ogniska było bardzo zimno. Ognisko tliło się bardzo wąskimi, czerwonymi języczkami. Wstałem i zrobiłem kilka kroków. Dziewczyna pociągnęła mnie za rękaw.

— Idziesz? Zostań — powiedziała.

Widocznie jednak przesadziłem z tym zainteresowaniem. Może byłem zazdrosny o dziewczynę? Ale przecież mój nieznajomy nie zagrażał mi w sensie konkurencji. Załowałem, że dałem się ponieść niskim emocjom.

— Idę — powiedziałem. — Ten człowiek nie może zostać sam na tamtych brzegu. On mnie tutaj sprowadził. Pokazał to fajne miejsce. Wiesz, to jest takie niezwykle miejsce.

— Co ty bredzisz? Zostań!

— Nie. Przynajmniej teraz nie mogę zostawić go samego. On szybko zasypia. Potem tu jeszcze wrócę. — Wyzwolilem się z uchwytu i zacząłem odchodzić.

Dziewczyna zawołała za mną:

# NAD SOLINĄ

— Będę jeszcze czekać przy ognisku.

Ale nie wróciłem do niej. W naszym namiocie paliła się jeszcze latarka. Nieznajomy nie spał. Kończył właśnie układanie posłań. Potem schował do plecaka powieść, której tytułu nie zdążyłem odczytać. Nie miał do mnie żadnego żalu. Może nawet nie zrozumiał moich złośliwych intencji?

Nazajutrz zwiłaliśmy biwak. Nieznajomy obiecał jakieś nowe miejsce dobre na biwak. Ale czekała nas całodzienna wędrówka. Po drodze mijaliśmy obóz naszych sąsiadów. Nieznajomy szedł przede mną o kilkanaście metrów. Wykorzystała to dziewczyna. Podbiegła do mnie. Nie czyniła żadnych wyrzutów. Robiła raczej wrażenie zainteresowanej.

— Dlaczego nie przyszedłeś?

— Nie mogłem. Wiesz, tak jakoś głupio wyszło...

— Kim jest ten człowiek?

— Nikim. Przeklęta wojna, przeklęty Hitler...

— Co?

— Nic!

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Nieznajomy obejrzał się i pomachał ręką na pożegnanie. Ruszył za nim, przyspieszając kroku. Po chwili zwrócił się z tym człowiekiem. Szliśmy teraz obok siebie.

Stanisław Mazur

## Ewa K. Karczewska DUCH

I ciała już nie było  
a oczy szły przez świat.  
Istnienie już nie żyło  
od wielu długich lat.

Na ziemi pozostało  
wspomnienie oczu tych,  
lecz, życia było mało,  
by poznać ludzi złych.

I głos się tłukł po nocy,  
choć ciała nie miał już.  
On nabrał wielkiej mocy,  
podobny był do burz.

Swym tchnieniem mrok wypełniał  
nieistniejący duch.  
Wokoło świat pociemniał  
i gwiazdy wprawił w ruch.

I teraz każdej nocy  
po świecie idzie głos,  
bo człowiek nie ma mocy  
by zabić własny los.

I ginie tylko we dnie,  
zapada echo snów.  
— Nie wiercie w śmierci bredni  
On w nocy wróci znów.

## Małgorzata Kaluża MARZENIE

Odleciały  
wędrowne ptaki  
platek róż  
zamknęłam w książce  
Liście spadły  
na ścieżkę w parku  
Chciałabym  
być liściem  
by mnie wiatr  
tarzał po ziemi  
by mnie  
deszcz mieszał z ziemią  
by mnie  
zima przykryła bielą  
by mnie  
później wrócono drzewu

## Janusz Karcz POWROTY

martwa noc  
o czwartej nad ranem  
wracam do domu  
gdzie od kilku dni  
czeka biała kartka  
na pokarm słowa  
cząstki siebie  
której nie wykrztuszę  
na razie nic  
o przeciekającym przez palce  
życiu  
bezsensownym przypadku  
istnienia  
o przyzwyczajonych do siebie  
upokorzeniach  
na razie nic  
trwam w oknie  
aż osiądzie delikatnie  
na mojej twarzy  
metaliczny  
świat



„Wyścig Pokoju” — rysunek Elżbiety Kolbus kl. VII szk. 23

Fot. J. Trembecki

# oko -lice sztu- -ki

## Zaproszenie na wernisaż

W SZÓSTYM numerze białostockich „Kontrastów” ukazał się krzepiący artykuł pt. „Wystawiają się na krytykę”, autoryzowany przez Jana Komaszewskiego, którego nie znam, lecz bardzo chciałbym poznać osobiście. Z konieczności akademickich zajmowałem się niegdyś literaturą XVII wieku, piśmiennictwem barwnym, dosadnie konkretnym w opisach, a zarazem wspaniale metaforycznym, którego pokaźny rozdział miał charakter dewocyjny. I oto Jan Komaszewski jawi mi się w 1974 roku jako kontynuator tej literatury. Nic to, że jego absolutem jest wyabstrahowany model kultury artystycznej. Postawa autora ma czysty pobłask dewocyjny, Jan Komaszewski odważnie demonstruje swoją pobożność wybujałą, zręcznie żongluje arcybutami, symbolami, kolorem i ostrym pojęciem, że wstrętem wytkając innym opieszałość w praktykach. Rzecz jest o tyle ciekawa, że rozwija się na obszarach jakoś mało przydatnych do tego rodzaju samookreślenia. Wyznacza je bowiem działalność białostockiego Biura Wystaw Artystycznych. Dla ludzi w rodzaju Jana Komaszewskiego nie ma jednak rzeczy niemożliwych, albowiem natura obdarzyła autora aktywnym stosunkiem do rzeczywistości.

Zdaniem pisarza, BWA sprowadza do Białegostoku mierne wystawy plastyczne, co wynika z kumoterskich powiaz tej placówki. Dawniej to jeszcze uchodziło, albowiem BWA nie posiadało odpowiednich sal wystawowych,

ale teraz, po uzyskaniu wspaniałych pomieszczeń ekspozycyjnych przy ulicach Mickiewicza i Dąbrowskiego, sprawa pachnie skandalem. Trzeba mierzyć wysoko, do sfer awangardy, a nie — pięścią niedopieczonych z Tarnowa czy Zamościa. Zapatrzony w niebo, Jan Komaszewski lekce sobie waży Marię Anto, „będącą przeciw artystką bardziej popularną niż wspaniała”, oraz Teresę Jakubowską, „której grafiki nie są już dziś odkryciem”. Z tego zapatrzona autor dostaje miejscami ślepoty, wśród innych zaplanowanych na rok bieżący wystaw nie dostrzega ekspozycji Magdaleny Abakanowicz, Hedefonsa Houwalta czy Konrada Jarodzkiego, który m. in. reprezentuje Polskę na tegorocznym Biennale w Wenecji. Mało go też obchodzi zapowiedziane wystawy, obrazujące dorobek międzynarodowych plenerów w Białowieży i Hajnówce, w których z reguły uczestniczy spora malarzy wybitnych, m. in. Jan Tarasin, Jerzy Panek, Wiesław Markowski, Stanisław Fijałkowski, Bogdan Kraśniewski, Tadeusz Dominik etc. etc.

Autor uważa, że tegoroczny plan wystaw BWA jest do kitu. Nie można przecież potępiać Jana Komaszewskiego, winić go za to, że w chwalebny dążeniu do doskonałości gorączkowo przygotowuje dowody potwierdzające jego tezę o zgnębieniu polityce białostockiego BWA. Wszystko wyjaśnia, a może nawet tłumaczy, przyjęcie przez Jana Komaszewskiego postawy dewocyjnej. Posiada ona zresztą solidne zaplecze w

postaci sympatycznej naiwności elokwentnego autora, który podchodzi do sprawy emocjonalnie i na zasadzie „gdzieś tam biją dzwony, tylko nie wiem gdzie”.

Oto pisarz proponuje BWA wypożyczenie dzieł malarstwa „z zasobniejszych galerii, jak np. Muzeum Sztuki Współczesnej w Łodzi, warszawska Kordegarda, Muzeum Narodowe”. Pomijam fakt, że w Łodzi nie istnieje żadne Muzeum Sztuki Współczesnej, że Muzeum Narodowych mamy w Polsce kilka. W pokorze jednak nie śmiało pytać mam ochotę, na jakie to znakomite dzieła malarstwa historycznego (i aktualnego) liczy Jan Komaszewski, wskazując na Kordegardę, która od dwóch bodaj lat stanowi przystań twórczości sentymentalno-tradycyjnej?! Przede wszystkim jednak: czy autorowi zależy na pozyskaniu dla białostockiej publiczności „plastyków całą gębą”, czy też o tzw. zgnojenie BWA, które przez wiele lat było (i jest!) ważnym elementem życia artystycznego w województwie, a jego szef kilkakrotnie komisarzywał międzynarodowym plenerom białowiejskim, doprowadzając również, wspólnie z dwoma innymi malarzami, do uruchomienia w mieście bezprecedensowej i znakomitej galerii „Brama”, zaszczyconej m. in. dziełami Henryka Stażewskiego. Była ona rezultatem czysto kumoterskiej, czyli indywidualnej inicjatywy, jako że wszystko, co wartościowe i wiodące w sztuce polskiej na takim właśnie wyrasta podłożu. Niejeden zresztą chciałby być kumotrem Stażewskiego czy Abakanowicz, prawda?

Chciałbym zadać takie pytania, rozwinąć je, dodać to i owo na temat postulowanej kontroli administracyjnej nad działalnością BWA, ale język kolkiem staje i na twarz padam przed Janem Komaszewskim, który z ogromną sprawnością wypełnia swoją misję dewocyjną: zaniebując osobiste doskonalenie, świat pragnie ulepszać, bić się w piersi ludziom każde, do Kanossy na kurację odsyła. Tyż piknie, jak mawiają górale.

Od kilku miesięcy — po raz pierwszy w swej heroicznej historii — białostockie BWA znajduje się w dobrej sytuacji lokalowej, co otwiera przed zaśluzoną placówką nowe i niepomiernie szersze możliwości działania. Nie ulegajmy jednak perfekcjonistycznym złudzeniom: podobnie jak pozostałe BWA w kraju, będzie to placówka ekлекtyczna, prezentująca twórczość zróżnicowaną pod względem artystycznym. Bo taka jest natura i funkcja każdego Biura Wystaw Artystycznych — jak to niegdyś na łamach „Kultury” określił dyrektor Wileński (CBWA Warszawa). Ale nawet przy takich uwarunkowaniach, przy takim przeznaczeniu można pracować dobrze, albo źle. Szedł dotąd Białystok po tej pierwszej drodze i nie nie wskazuje, że z niej zbieczył.

Na koniec pragnę zaprosić Jana Komaszewskiego na własny „wernisaż”. Termin i miejsce do uzgodnienia. Zgodnie z propozycją sympatycznego autora, który potępia zamknięty charakter takich spotkań, skłonny jestem zaprosić na wernisażowe spotkanie cały Białystok i pół Lublina. Pod warunkiem, że Jan Komaszewski sfinansuje rytualną lampkę wina à 10 złotych sztuka.

## Złomowładni

**C**O JAKIS czas, kiedy akurat jestem po przepracowanej nocy, budzi mnie rankiem straszliwy łomot, dobywający się zza okna. To śmieciarka MPO przyjeżdża i czyni swoje, pożyteczne skądinąd, dzieło. Ale mam nieszczęście mieszkać bezpośrednio nad zypem. I kiedy mnie podrywa z półsnu zgrzyt potworny, wówczas marzy mi się, że posiadają dryling, nabity brenkami na dzika, zaraz wystawię lufę przez okno i będę strzelał, strzelał, strzelał... Tak przynajmniej marzyłem do niedawna, nie spodziewając się nawet, jak ciężki może być żywot pracowników od oczyszczania miasta i na jakie oni są narażeni pokusy oraz niebezpieczeństwa.

Milicja uzyskała informację, iż trzech ludzi z MPO, obsługujący śmieciarkę (kierowca i dwu ładowaczy), wywożą z fabryki „Lechia” zamiast śmieci — złom metalowy „w dużych ilościach, a nawet po dwie tony”. Dodatkowo, że kierowca stawia wódkę pracownikom „Lechii”. Sprawa wyglądała dosyć poważnie. Tego samego dnia milicja zatrzymała podejrzany samochód i okazało się, że jest w nim, oprócz śmieci, 420 kg złomu, który zakwestionowano, a następnie zwrócono „Lechii”.

Podejrzani zeznali, iż złom leżał na śmietniku w obrębie zakładu. Ładowali śmiecie, ładowali więc i złom, sprzedając go następnie w odpowiedniej składnicy, pieniążkami zaś dzieląc się sprawiedliwie, czyli po równo. W jednym składzie sprzedawali i nikt im nie wystawiał rachunku, w innym składzie sprzedawali i tam im wystawiano pokwitowania (są dołączone do akt sprawy — cztery rachunki: 765 zł, 561 zł, 968 zł, 1020 zł). W fabryce nikogo się nie pytał, czy wolno brać złom ze śmietnika, a portier na bramie nie sprawdzał samochodu. Złom zresztą wyszukiwali także na ogólnym wysypisku miejskich śmieci. Pieniądże przeznaczali na potrzeby własnych dzieci (kierowca jest wdowcem i utrzymuje trójkę przychówku).

Prokurator oskarżył ich z artykułu 199 paragraf 1: „Kto zagarnia mienie społeczne, podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 5.” Obliczono ich na 30 ton złomu, wywiezionych w ciągu pół roku. I mogło być krucho, bo złom surowiec wtórny, dla hut naszych cenny, więc nie byłoby żadnego przeproszam.

Decydujące znaczenie miały dla sądu zeznania odpowiedzialnego za politykę złomową pracownika „Lechii”. Okazało się, że złom nadający się do przetopienia w hutach był na terenie zakładu składowany w specjalnych pojemnikach, zaś nie nadający się — wyrzucany na śmietnik. Nie stwierdzono kradzieży złomu z pojemników. Zaś to, co w śmieciach, wolno było wywozić pracownikom MPO. Ten złom, który milicja zakwestionowała, leżał więc na śmietniku, czyli był bezpieczny. Na tej podstawie sąd uniewinnił trzech oskarżonych, kosztami postępowania obciążając Skarb Państwa. Ja zaś nigdy już nie będę źle sądził o pracownikach MPO, choćby mnie codziennie budzili skoro świt.

W tej sprawie pozostaje jednak jeszcze parę problemików. Zwrócone „Lechii” 420 kg złomu zostało w fabryce preselekcjonowane i wtedy okazało się, że połowa to surowiec zdatny do przetopienia w hucie, powinien więc spoczywać nie na śmietniku zakładowym, lecz w specjalnych pojemnikach, skąd dźwigiem winien być wybrany i przetransportowany w Polskę. Przedstawiciel „Lechii” zeznał przed sądem, iż „niechlujni pracownicy zakładu” mogli dobry złom wywalić nie tam, gdzie potrzeba.

Sprawa z gatunku drobnych, nieco nawet humorystycznych, ale jeśli dzisiaj mówimy o gospodarności na każdym odcinku, nawet najdrobniejszym, to cała ta historia zaczyna wyglądać poważniej, gdyby ją przemnożyć przez ewentualne inne zakłady, w których podobnie dba się o składowanie surowców wtórnych. Codziennie prasa donosi o całkiem jeszcze przydatnych detalach, znajdujących w składnicach złomu, czasem chodzi nawet o całkiem nowe przedmioty. A wtedy już tracę humor zupełnie.

Na koniec dręczy mnie jedno pytanie. Skoro istnieje złom nadający się tylko na śmietnik, to dlaczego za ten złom Zbiornica Surowców Wtórnych płaci pieniądże? W świetle bowiem tej sprawy działalność trzech oskarżonych jawi się jako całkiem legalna. Może z takiego złomu wykonuje się broje średniowieczne ku uciesze zbieraczy bibelotów? A może by ktoś pomyślał?

pom



Rys. A. Stok

# Sennik egipski

- 13 -

- Jastrząb — niebezpieczeństwo
- Jaszczurka — zły człowiek ci szkodzi
- Jazda na koniu — spełnione nadzieje
- Jazda czwórka — szybkie dojście do majątku
- Jazda koleją — uczta rodzinna, zaproszenie
- Jazda wozem — zmiana w życiu
- Jazda rowerem — na nic twoje trudy
- Jazda samochodem — dobrobyt
- Jazda samolotem — szybka i odważna decyzja przyniesie ci duże korzyści
- Jednooki — podstępny człowiek blisko
- Jedlina — powrót do zdrowia
- Jedwab nosić — dobrobyt
- Jedwab widzieć, dotykać — zyski w interesach
- Jedwab czerwony — wypadek, krew
- Jedwab niebieski — dobroć, okazanie dobrego serca
- Jedwab zielony — duże nadzieje
- Jedwab ciemny — smutek
- Jedwabniki — delikatne i zawikłane sprawy
- Jeleń — niewinne posiadzenie
- Jelenia zastrzelić — popełnienie nieuczciwości
- Jelenie stado — zyskanie przyjaciół
- Jeść z apetytem — zdrowie, dobre samopoczucie
- Jeść bez apetytu — ktoś cię prześladowa
- Jeść bulki — dobre widoki w interesach
- Jeść chleb — otrzymasz pewną pomoc
- Jeść wiśnie — dobre towarzystwo, korzyści
- Jeść wedliny — strata przyjaciela; trudności
- Jeść cukierki — plotki przyniosą ci szkodę
- Jeść ciastka — pomyślnie wyjście z trudnej sytuacji; towarzystwo
- Jeść czekoladę — rozczarowanie, niedyspozycja
- Jeść pierniki — rozczarowanie, złe samopoczucie
- Jeść grzyby — praca ponad siły, ale z korzyścią
- Jeść kluski — choroba żołądka
- Jeść mak — strata przez uśpienie czujności
- Jeździec na koniu — potrzebne ci będą rady mądrego człowieka
- Jeździec spadający — straty
- Jeziorko — łatwy i dobry zarobek
- Jeziorko, kąpać się w nim — niebezpieczna znajomość
- Jeziorko wzburzone — nieporozumienia
- Jeż — przykrości
- Jęczmień kosić — śmierć bliskiej osoby
- Jęczmień siać — zmienne szczęście
- Jęk słyszeć — choroba, zmartwienie
- Jęk wydawać — sam zniesławisz się
- Język — zniesławi cię ktoś
- Język wywieszony u psa — przeszkody w zamiarach
- Jubiler — pokusa
- Jubilerski sklep — dobrobyt, prezent
- Judasz — zdrada, obłuda
- Juhas — dobry interes
- Jutrzenkę widzieć — odnajdziesz cel życia

## K

- Kabina — niepewne jutro
- Kabel — wiadomości z daleka
- Kabałę wykładać — unikniesz niebezpieczeństwa
- Kaczenie — zazdrość
- Kaczki łapać — przeprowadzenie swoich zamiarów
- Kaczki skubać — kłótnia
- Kaczki lecać — lekkomyślne plany
- Kaczki dzikie — dobre interesy
- Kadzidło — pochlebstwa nieszczerze
- Kafel — nierealne zachcianki
- Kaftan — gniew, irytacja
- Kaganiec — popełnisz niedyskrecję
- Kajak — wyjazd, wypoczynek
- Kajdany nosić — przykre związanie się słowem
- Kajdany — małżeństwo lub zaproszenie na ślub
- Kajdany zrywać — pozbędziesz się niewygodnych świadków
- Kajdany widzieć — oskarżenie sądowe
- Kaktus — zawód w miłości
- Kakao — zgryzoły
- Kalafiory — honory bez żadnej korzyści
- Kalesony — nieprzyjemności, będziesz się wstydzić
- Kalekę widzieć — nieoczekiwana pomoc
- Kaleka, być nim — trudności w sprawach majątkowych
- Kalendarz — będziesz niespokojnie wyczekiwał czegoś
- Kalendarz czytać — niebezpieczeństwo
- Kalina kwitnąca — swaty, wesele
- Kalina z jagodami — chrzciny
- Kaluża, wpaść w nią — zatargi polityczne, nieprzyjemności
- Kalużę obejść — unikniesz niebezpieczeństwa
- Kalamarz — smutek
- Kamelia — powierzenie ci tajemnicy
- Kamerdyner — interesowny przyjaciel
- Kamienie posiadać — chwilowe kłopoty pieniężne
- Kamień z pierścienia — rozłąka z ukochanym
- Kamień zwykły — choroba i troski
- Kamienie, chodzić po nich — trudności w życiu
- Kamień rzucać — kłótnia
- Kamieniami zostać obrzuconym — ktoś szykuje się na ciebie
- Kamienie rozbijać — praca ponad siły bez żadnych korzyści
- Kamieniolomy — bogactwo cię czeka
- Kamizelka — ubóstwo
- Kanały — zysk na cudzym nieszczęściu
- Kanalizacja — kłopoty, zmartwienia
- Kanapa — trudy bez korzyści

Dalszy ciąg nastąpi





